

BRUNO WINAWEK

CICHY ALARM



W A R S Z A W A

KSIEGARNIA M. OSTASZEWSKIEJ i S-KI

Al. Jerozolimskie 23.

<https://rcin.org.pl>

CICHY ALARM

Przyjacelowi Miłośniemu
Rulickowskiemu
z wyrazami serdecz-
nymi
Wm. Winarski

BRUNO WINAWER

CICHY ALARM

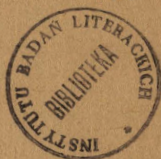
W A R S Z A W A

KSIĘGARNIA M. OSTASZEWSKIEJ i S-KI

Al. Jerozolimskie 23.

<https://rcin.org.pl>

Copyright by Bruno Winawer, Warsaw, 1924.



I- 3060

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc.
ul. Warszawska 61. Telefon 273.

<https://rcin.org.pl>

TYTUŁ

Wiem, że trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać książkę. Ale chyba najtrudniej jest dopisać... tytuł do książki. Wszystkie słowa mocne i nazwy frapujące, wszystkie nagłówki atrakcyjne przywłaszczył sobie oddawna kinematograf... Gdzie znaleźć wyraz dość donośny i dźwięczny?

Co ma krzyknąć przechodzień, który wyszedł na spacer poobiedni i spostrzega nagle, że glob ziemski pękł na dwoje i kultura całego kontynentu, całej części świata zwolna a niepowstrzymanie w sporą rozpadlinę się wali? Ludzie sobie baraszkują, jakby nigdy nic, słońce świeci, ptaszęta ćwirkają... A za lat sto miasta europejskie trawą zarosną, na gruzach naszych wszechnic, pałaców sztuki, teatrów, cyrków, bibliotek i kabaretów naród pasterzy i fellahów się rozgości,

krowy, cieleńta i barany (wszystko bez przenośni) igrac będą wesolutko tam, gdzieśmy głupkowate spory toczyli, za łby się biorąc...

Niech tedy będzie „alarm”—cichy, bezgłośny, stateczny alarm. Proszę mi wierzyć, że walę w klawisze, ile sił starczy, gram fortissimo—niestety, na głuchej klawjaturze.

UŚMIECH EUROPY

Według teorii Einsteina człowiek energiczny, wyruszywszy pewnego dnia w świat z kopyta — wszystko jedno, w którą stronę — jest po powrocie znacznie młodszy od otoczenia, od swoich rówieśników, niemrawych i zadomowionych. Mniejsza o to, jak tam ten paradoks naukowy rozumieć należy — faktem jest, że zawiera w sobie myśl głęboką i słuszną. Byłem miesiąc we Włoszech, mogę przysiąc, że wróciłem o pięć lat młodszy i nawet na granicy poprawiłem bez wahania odnośną cyfrę w paszporcie. Proszę mnie ścigać sądownie. *Je m'en fiche.*

W boskiej Italji nauczyłem się od męża stanu, p. Franciszka Nittiego, autora rozprawy *Europa senza pace* pewnej rzeczy, za którą mu będę szczerze wdzięczny aż do zgonu. „Jedno

tylko nas uratować może od ruiny — mówi pięknie ów dyplomata (stronica V-a) — Europa musi się uśmiechnąć!“

Brawo!—robię, co do mnie należy, uśmiecham się—nawet szerzej, niż na moją część wypada. Co tam, dobrze jest, jak jest, dziś - dziś - dziś i hop - sa - sa. Naprzykład:

W krótkiej podróży z Warszawy do Triestu mamy — jeżeli mnie pamięć nie myli — cztery granice, a ponieważ trzeba też wrócić do domu, więc osiem. Na każdej z tych granic dwaj panowie oglądają mój paszport, rzucają kilka aforyzmów w języku, którego nie mogłem się nauczyć, bo mi nie pozwolono wyjść z wagonu i przyłożywszy pieczęć: St. Ilj (więcej samogłosek ta stacja nie posiada) do mego „dowodu osobistego“, oddają mnie w ręce innych dwóch panów. Ci znowu żonglują mojami chustkami do nosa „z dziecinną radością ciągną za sznurek“ starej piżamy, w nadziei, że jakiś „usłyszą mazurek“, przyczem zadają pytania bez sensu: czy pan nie ma czasem za dużo pieniędzy?

Przez trzydzieści osiem lat życia nic mi się podobnego nie zdarzyło — raptem na St. Ilj miałoby mi się odmienić?

Pierwsza czwórka takich panów człowieka trochę irytuje, druga — czesko-austrjacka — też, trzecia — austrjacko-jugosłowiańska — jeszcze ociupinkę, ale już ó s m ą — w Postumji — witamy uśmiechem radosnym.

Istotnie, jest w tem jednak jakaś podniosła, wielka idea, jakaś myśl, krzepiąca serce i ducha: szesnaście razy cztery, sześćdziesiąt cztery osoby poważne i dorosłe, żyją — chwalić Boga, — rodziny utrzymują tylko z tego, że oglądają dokładnie i skrupulatnie moje stare spodnie, wykonane ongi przez krawca, p. Szymczaka, w Warszawie przy ulicy Wspólnej.

Jeszcze bodaj kilka mocniejszych wysiłków, jeszcze kilka rewizyj, jeszcze kilka St. Ilj (djabelnie mało samogłosek posiada to słowo, jak na stację węzłową), a wyzbędziemy się w Europie wszelkich kłopotów, co mówię, wszelkich kryzysów ekonomicznych. Małe pacholeta nasze będą sobie biegały wesoło po łąkach szmaragdowych i maczały stopy w ruczajach szumiących, podczas gdy my, ich ojcowie, śpiewając pieśni radosne przy zbożnej pracy, oglądać będziemy jedni drugim spodnie a kalesony, paszporty a dowody osobiste. Co kilka kroków stać będzie — hen, jak okiem sięgnąć — barak z sosno-

wego drzewa i w tym baraku schodzić się będą wieczorkiem Serb z Bułgarem, Rumun z Węgrem, d'Annunzio z Chorwatem, Grek z Turkiem, Czech z Niemcem i, gwarząc, a dogadując, rzeknie jeden do drugiego:

— Nie ma pan czasem za dużo pieniędzy?

Poczem się wszyscy rozbiorą do naga, jeden drugiemu — jak to między sąsiadami — kieszonienie przetrząśnie, pieczętkę tu i owdzie przylepi, majtki ocli, kwitek wyda. Żyć nie umierać.

Pamiętam, gdzieś pod Dziedzicami — wsiadł do naszego przedziału przystojny brunet w saku koloru czekoladowego. Był to — jak się okazało — Włoch, i to Neapolitańczyk, który też zupełnie poważnie i ze szczerym entuzjazmem twierdził przy każdej okazji, że *Kattowitz est très joli*. Widocznie krajobraz jest doprawdy stanem duszy i dobry interes w Katowicach wygląda piękniej, niż zachód słońca na Capri. Ale nie o słońcu chcę mówić, tylko o czym innym.

Gdzieś tam pod Piotrowicami kazano Włochowi oclić czekoladowy saczek po raz pierwszy. — Jak pan będzie wyjeżdżał tym wagonem z Czech, to panu pieniądze zwrócą. Należy się dwadzieścia koron czeskich.

W Lundenburgu obudzili nas znowu i oclili Włochowi saczek po raz drugi.—Przy wyjeździe z Austrii otrzyma pan pieniądze z powrotem. Należy się 150 tys. koron austriackich.—W miejscowości o pięknej nazwie Maribor ciągnęli Włocha znowu na komorę celną, ale zabrakło mu denarów serbskich i cierpliwości. Kapitułował i oddał czekoladową część garderoby republice S. H. S. na własność, dla celów reprezentacyjnych.

— *Corpo di Bacco!* — wołał — patrzcie państwo, nie dowiozłem! Wybrałem się z domu w to dżdżyste lato bez okrycia i odtąd się zaczyna moja martyrologja. Kupiłem jeden płaszczyk w Zagrzebiu, zabrali mi go w Arnoldsteinie, kupiłem drugi w Wiedniu — przechowują go w Bratisławie. Mam palto w Gliwicach, mam palto w Oderbergu, w Marmarosze-Sziget, w Gy-bengyoes, w miejscowościach, których ani ja, ani nikt z moich spadkobierców wymówić nie potrafi.

Cała mapa Europy jest mojemu paltu usiana i — stosownie do ostatniego dekretu Ligi Narodów — w razie sporów granicznych mój saczek decyduje o przynależności państwowej danego okręgu. Panie, to wszystko w epoce samolotów i radjotelefonu!

W czasach, kiedy Amerykanin wali sobie wesolutko z New-Yorku do Frisco (odległość trzy razy większa, niż droga lądowa Lizbona — Odesa) bez pasportu, bez czternastu wiz, bez 28 rewizyj, bez 16-u różnych gatunków papieru po kieszeniach.

Czy panu się nie zdaje, że tu ktoś z nas po prostu zakpił? Że ten stary, solidny, poważny, podtatusiały, dawniej ogólnie szanowany kontynent, na którym żyjemy — raptem zdziecinniał? Że ta część świata zachowuje się, jak na swój wiek, nieprzyzwoicie?

Dość spojrzeć na oblicze starej Europy, na te tysiączne, filuterne, wesołe zmarszczki linii granicznych i kordonów policyjnych, na te drgające różowe plamki terenów spornych, na te latające, figlarne „muszki” okręgów wątpliwych!

Panie, to stare pudło się śmieje — od ucha do ucha...

ABDERA PÓLNOCY

— Przechodzę późnym wieczorem przez Krakowskie Przedmieście — mówił podczas słynnego „Kongresu“ kolega mój heidelberski, dr. K. — i raptem słyszę podejrzany rumor pod Kopernikiem. Zbliżam się do pomnika — naturalnie! Stało się, co się stać musiało! Astronom toruński pakuje swoje planetarjum do futerału, zbiera graty i cichy, milczący, jak zawsze, ma właśnie zamiar jeszcze przed nową podwyżką kolejową drapnąć chyłkiem z Warszawy.

Przyznacie, że trudno mu się dziwić. Siedział przez tyle lat na słupie, otoczony, że tak powiem, nieomal powszechnym szacunkiem, a dziś — to poprostu jedyny u nas w mieście i kraju przedstawiciel owej *nauki oficjalnej*, o której z takim przekąsem i taką pogardą mówią star-

sze panie i bładzi panowie w pobliskiej auli uniwersyteckiej, to ignorant, któryby ani listu w zamkniętej kopercie odczytać nie potrafił, ani metaplazmą przez ścianę po ciemku, z dwumetrowej odległości na pozytywce zagrać nie umiał, ani na tamburynie *mit einem gliedartigen Auswuchs* zabębnić nie zdołał. I co—wogóle—tak zwana nauka oficjalna ludziom przez tyle wieków dała? Jakieś fale elektryczne, radjotelefony, pierwiastki promieniotwórcze, teorie Einsteina — poco to komu?

Bankructwo na całej linii i zaprawdę bliski jest dzień, kiedy wszystkie zbyteczne dynamo i anteny z warszawskiej radjostacji wyrzucimy, a na ich miejscu medjum, Barbarę Ubryk (Podwale 34), posadzimy i ta właśnie Barbara, zamieniając naszego Pata na Telepata, depesze prasowe, psychiczne, napięciem woli agencjom zagranicznym komunikować pocznie.

Zaprawdę bliski jest dzień, kiedy lekarze nasi, skoczywszy po rozum do głowy, rury rentgenowskie o kolano potłuką, barbarzyńskie aparaty prześwietlające z klinik usuną, a natomiast wezwą do pomocy pana Dyrdałę, dentystę-jasnowidza, który przyłożywszy dłoń pacjentowi, gdzie trzeba, powie głośno i wyraźnie:

„Widzę! Widzę dokładnie. W lewej kieszeni zegarek firmy Omega, kwit lombardowy № 338 i paszport krajowy, na wątrobie zaś guz wielkości jaja kurzego. W kieszeni od spodni kluczyk.“

Zaprawdę też świta już dzień, kiedy przestarzałe, nędzne metody tak zwanych nauk ścisłych z naszych szkół i uczelni „żelazną miotłą” wymiemy. Poco komu dowody, które niczego nie dowodzą? Nauczyciel geometrii zgromadzi swoich uczniów wieczorem w ciemnym pokoju, każe im się wziąć za ręce, utworzyć łańcuch i czekać, póki się nie przekonają, że zamknięty fortepian gra, skrzypce latają w powietrzu, a suma kątów w trójkącie równa się czternastu prostym. Profesor prawdziwie nowożytnej matematyki nie będzie paskudził tablicy kredą i zagwał móżgów wywodami. Powie słuchaczom poprostu: „babka moja, osoba zupełnie wiarogodna, miała raz wypadek następujący. Coś ją z łóżka podnosi i prowadzi do jadalni. Tu portret nieboszczyka jej męża raptem spada z gwoździa, przyczem głos tubalny z kąta pokoju się rozlega: Leokadjo! kwadrat przeciwprostokątnej równy jest sumie kwadratów przyprostokątnych, pamiętaj! — Od

tej chwili to twierdzenie nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości.”

I wykład historii uprościmy znacznie. Damy dymisję wszystkim belfrom, spalimy książki i tablice chronologiczne. Poco komu podręczniki? Medjum, Janek Cymbergaj (Waliców 14), przyjdzie na seans, urobi dzieciom z plazmy Napoleona Pierwszego i każe mu gadać dokładnie, jak i co było i po *kje cholere do Moskwy lazł*. Podniosły nastrój, mistyczna ciemnia na sail, fioletowe światelka sprawią, że te dane historyczne łatwiej się we wrażliwych mózgach dziecięcych utrwalą, niż podczas suchego wykładu szkolnego.

Przyrodoznawstwo zaś powierzymy całkowiście niejakiemu Frycowi Grunewaldowi ze zjazdu metapsychików. Co ten inżynierek nieszczęsny w swoim referacie godzinnym o jakimś kawałku cukru z roku 1913-go opowiadał—tego doprawdy umysłem ogarnąć nie sposób. Taki kawałek cukru, jeżeli go potrzymać w rękę, skoncentrować na nim wolę i wpłynąć nań psychicznie—rozpuszcza się w wodzie, albo nie, traci na wadze, albo zyskuje na wadze, czasem się podwaja i wogóle kpi sobie ze wszystkiego, co wiemy o cukrze.

Jak to odkrycie wpłynie na rozwój przemysłu i handlu! Jednym zamachem wyzbywamy się drożyzny i wszelkich kłopotów! Pan Grunenwald idzie na stację towarową, *skupia wolę* na wagonie, który nadszedł z cukrowni „Częstocice” i — patrzcie państwo — zamiast jednego wagonu są dwa! Produkcja rośnie, ceny spadają na łeb, cały świat jest zawalony cukrem. Grozi nawet przesilenie z tego powodu, ale sprytni fabrykanci zamawiają sobie pana Grunewalda (Fryca) na seans, obiecują mu bajońskie sumy i proszą o radę. Pan Grunewald kiwa głową, bierze pieniądze, *skupia wolę* i rozkazuje cukrowi, żeby się nie rozpuszczał! Tu nowa rewolucja. Dawne zapasy tracą wartość, popyt rośnie, akcje idą w górę, ludzie zarabiają miljardy... Właściwie mówiąc, nasz los, nasz byt—wszystko jest w ręku pana Grunewalda!

A to zaledwie *jeden* i nie najlepszy z dwudziestu delegatów, którzy na kongres warszawski przybyli, tu entuzjastycznie przez władze i ministerja witani, podwalinami wiedzy wstrząsnęli i teraz sławę naszego grodu, naszej pocziwej Abdery Północy, po szerokim świecie rozniosą.

Czem wobec tych tytanów, wobec Grune-

walda, Kulebiaka, Frączaka, byli Newton, Kopernik, Galileusz? Co my, biedacy, których nawet na normalnego przeciętnego uczonego nie stać, przeciwstawić możemy olśniewającym zjawom takiego Schrencka-Notznika i jego guzika, Willy Schneidra?

Przypomina mi się tutaj — nie wiem dlaczego — pewien skromny fizyk duński, nazwiskiem Oersted. Po kongresach nie jeździł, plazmą nie świecił, aktorom w głowach nie przewracał, na zamkniętych fortepianach nie grywał. Zauważył sobie, że maleńki magnesik drga w pobliżu prądu elektrycznego. Kilkadzieciąt lat od owego dnia minęło — wykreście dziś obserwację Oersteda z naszego dorobku, a życie zamrze na tym globiel! Tramwaje staną, lampy łukowe zagasną, telefony zamilkną, kina znikną, — bo wszystko powstało z tej drobnej, niepozornej obserwacji, całą elektrotechnikę temu „fakcikowi” Oersteda zawdzięczamy.

Od dziesiątków i setek lat niesłychane cuda na seansach się dzieją, stoły wirują, pozytywki grają, krzesła latają. — Tylko, jak mi mówiono, sówitej nagrody, wyznaczonej przez pewnego przemysłowca szwedzkiego za podniesienie popielniczki na wysokość kilku centymetrów siłą

nieznaną, „nadprzyrodzoną” — nikt jeszcze nie dostał.

Wielu było powołanych, mało wybranych,
a najwięcej oszustów.

DO ZŁOTEJ PRAGI PO ZŁOTE RUNO

Ludzie szczęśliwi nie mają historii i człowiek, który się nagle a niespodzianie wyrwał z kołowrotu naszych spraw zaseydzanych, z wyziewów mózgownic, rozgrzanych walką i nienawiścią, z odoru czół, uznojonych mrówczanym kwasem — nie powinien nic pisać i nic notować.

Powinien już w Milanówku wołać hosanna, a kiedy się za nim zawrą wrzeczadze czyśćca w Dziedzicach (oddzielne wejście dla pań i oddzielne dla panów, pieniądze na stół, bagaż rozłożyć, links gehen, rechts schauen, Maul halten) powinien westchnąć z głębi piersi, Bogu i tym natansonom niebieskim podziękować i cieszyć się, że żyje nareszcie i, wbrew wszelkim pozorom, w Europie mieszka. Doprawdy już w Częstochowie lżej jest na duszy i mały gazeciarz ja-

kimś jaśniejszym, miłszym głosem swoje kurjery i rzeczypospolite wykrzykuje, niż u nas.

A jednak — lekki dreszcz ciałem mojem wstrząsa, kiedy tak w „rychliku“ Warszawa—Piotrowice - Praga siedzę i rozmyślam.

Jakże to będzie? Czechy znam, niestety, mniej więcej tak, jak mój starszy kolega, Wiljam Szekspir, który w „Opowieści zimowej“ ulokował je poprostu tuż nad morzem, zaraz na brzegu. Okręty do owych Czech, jakby nigdy nic, zajeżdżają, fale morskie dniami i nocami szumią i rekiny po jakichś—dajmy na to—Pardubicach ogonami merdają.

W bardzo miły i dowcipny sposób zemścił się na tym moim koledze pan Jarosław Kvapil, dyrektor teatru na Winohradach.

Wystawił mu ślicznie w barwnych, jasnych, światłem przesyconych dekoracjach właśnie „Opowieść zimową“, kazał najlepszym komikom, panu Veverce i panu Zakopalowi (Jaracz! poprostu Jaracz!), łotrzyków i zabawnych prostaków szekspirowskich odgrywać i teraz—już od kilku tygodni—tłumy ową ignorancję wielkiego Billa i jego rozkoszną „Zimną pohadkę“ na scenie podziwiają.

Musi być w tem jakaś głębsza ironja losu,



że właśnie ja znalazłem się obok Szekspira na afiszu teatru winohradzkiego...

Chyba nikt jeszcze do Pragi z tak małym bagażem wiadomości o tym kraju nie jechał.

— Z językiem — uspokajał mnie pewien domorosły lingwista warszawski — nie będzie pan tam miał żadnych trudności. Opuszcza pan wszystkie samogłoski w wyrazach polskich, dodaje pan, dla wypełnienia pauz, kilka rzeczowników w rodzaju krtań, gdyk, strzyż, stpiczyński — małe dziecko pana zrozumie.

Jest w tem stanowczo trochę racji. I jeżeli można polegać na trzydniowych obserwacjach — twierdzą, że obywatelom czeskim powodzi się naogół doskonale, żyją dostatnio, na ulicach miast aż wre, ruch naukowy, teatralny, muzyczny, literacki imponuje poprostu przybyszowi z krainy ościennej. Jeden tylko człowiek na obszarze młodego państwa cierpi, schnie, w męczarniach srogich ginie — to sufler teatralny. Kiedy siedzicie sobie w wygodnej łoży, patrzycie na odświętnych widzów, na salę, nabitą ludźmi (po dwa tysiące osób naraz słucha w Narodnim Divadle Molière'a!) — nagle jakiś dźwięk ponury, złowroźbny poczyną wam mącić błogostan wymarzony. Jakieś ptaszę nieszczęśli-

we ćwirka tam w dole żałośliwie, pracując pierśią, z gardziołka tony świszczące wyrzuca, jakiś biedny słowik szary z bajki Kryłowa zaplątał się w drutach i płótnach, „zaszczołkał, zaswistał“... To właśnie ów człowiek z budki suflera próbuje wymówić — jednym tchem! szeptem! — szybko i bez pauz: wstrząs — krztuń — rtec — zrzyn — sprzęg — krcipka...

Ale mimo to omyliłby się grubo, ktoby sobie — jak my tu wszyscy — wyobrażał, że sam dialog sceniczny może bawić cudzoziemca komizmem mimowolnym, że „Świątoszek“ brzmi śmiesznie, bo Marję gra pani Odstrczilova, która to swoje nazwisko bez zająknięcia naczczo wymówić potrafi. Przekonałem się po raz nie wiem który, że teatr opiera się właściwie na sugestji i hipnozie. Spróbujcie w olbrzymim tłumie widzów (a teatry praskie na każdym prawie przedstawieniu wypełnione są do ostatniego miejsca, widziałem „komplet“ na Molierze, komplet na Szekspirze, na sztuce filozoficznej Czapka, nawet na mojej), spróbujcie, powiadam, oprzeć się „prądom psychicznym“, śmiać się, kiedy piękna pani Dostalova lirycznie skanduje rolę Hermiony, albo — odwrotnie — nie bawić się, kiedy jedna z najmilszych artystek czeskich, pani

Zdenka Baldova, w bufiastej krynolinie uwija się na tle pomysłowych dekoracyj Józefa Czapka i rozkoszne figle płata Tartuffowi. Prąd psychiczny porywa widza, nawet wbrew jego woli, i przybysz ze stron dalekich może tylko stwierdzić starą prawdę, że spektakl — to w gruncie rzeczy wspólna zabawa aktorów z publicznością.

Te zabawy wspólne udają się — mam wrażenie — w Pradze częściej, niż u nas, bo tam ludzie w miłszym, cieplejszym nastroju wieczorami się gromadzą do kupy i jakoś życzliwiej patrzą na perypetje uszminkowanych bohaterów.

Moje refleksje filozoficzne są napewno słuszne, ale, jak wszystkie refleksje i cała filozofja, powinny sromotnie zawieść tam, gdzie chodzi o moją własną skórę. Siedzę tedy nazajutrz po przyjeździe w łoży pięknego teatru winohradzkiego, truchleję, tremę mam, serce mi bije, a po mózgownicy przewala mi się wciąż jedno tylko pytanie: Jakże to? Mój poczciwy Herup będzie mówił po czesku?

W pierwszym akcie nic nie rozumiem, jestem nieprzytomny w polskim i czeskim znaczeniu tego wyrazu, nie wiem, o co chodzi i z czego się ludzie śmieją: ze mnie? z mojego nieszczęsnego pogwałconego bohatera?

Ale już w akcie drugim pan Zdenek Sztepanek (Hiob) ma kilka świetnych, wzruszających momentów i, kiedy mówi o mizerji powojennej — na zdar! — rozumiem go, jakbym się urodził na Hradczanach, „epidemja psychiczna“ przerzuca się na mnie, śmieję się (o hańbo!) ze swoich własnych „wtipów“, wiem wszystko, widzę, pojmuję.

Aktorzy są przeważnie młodzi, mają lekką skłonność do szarży, komedja w ich wykonaniu ma charakter bardziej rodzajowy, popularny, ale publiczność bawi się razem ze mną, bije brawo razem ze mną i łudzimy się wszyscy razem, żeśmy wieczoru nie zmarnowali. A kiedy wreszcie gentleman-włamywacz, Macierzan (p. Franciszek Smolik), w akcie trzecim wraca z więzienia i nuci wesolutko, w tekście czeskim po polsku, „gdybyś była moja, kupiłbym ci wózek. Ale żeś Józkowa — niech ci kupi Józek“ — mam łzy w oczach, lecę za kulisy, ściskam dłoń pana Harta (reżyser), przemilej pani Szubertowej (lektorka teatru), pani Gabrielowej (Tola Olska); i ciskam się na szyję pewnemu jegomościowi w kitlu, obrzucając go tysiącem komplementów, i całując serdecznie w oba policzki.

— Dziękuję panu za uznanie — mówi ten

człowiek — ale nie grałem w pańskiej sztuce. Ja wogóle tu sprzątam tylko wieczorami garderobę teatralną — jestem woźny...

W hotelu, późną nocą, obliczam tantjemę, nurzam się w banknotach. Korony czeskie, tyśiąc dwieście sztuk po 200 tysięcy marek za sztukę! Ktoby przypuszczał, że to właśnie ja podniosę walutę polską, powstrzymam jej katastrofalny spadek i uleczę finanse kraju!

Niektórzy przypisują zasługę Youngowi. Naiwni! Mam mniejszy budżet, niż Rzeczpospolita, a p. Young nie chciał mi go reparować.

PARALELE

W kawiarni — tuż obok, przy stoliku sąsiednim — siedzi starszy, siwy pan i bada coś uważnie przez lupę. Ma bródkę generała hiszpańskiego, srebrzysty wąsik zaczesał zawadjacko do góry, studjuje coś pilnie i uśmiecha się ujmująco. Ponieważ dziś jest niedziela — postanawiam staruszkowi sprawić grubszą przyjemność, wstaję i pytam nieśmieiele:

— Przepraszam bardzo... która też jest właściwie godzina?

Starszy pan sięga natychmiast do kieszeni, wyjmując potwornych rozmiarów miedzianą „cebule” i odpowiada z namaszczeniem:

— Mamy siedem i pół minuty po szóstej. Za owe pół minuty ręczyć nie mogę, nie posiadam bowiem na cyferblacie sekundnika. Nie

miałem go gdzie wsadzić. Jest to zresztą jedyny feler mego czasomierza, który budowałem sam przez lat dwanaście. W zegarku, który pan tu widzi, są aż dwa werki, jeden chodzi na prawo, drugi na lewo. Jeżeli jeden się spóźnia, to drugi się spieszy, co jeden psuje, to drugi nadrabia—w ten sposób prawdziwa godzina leży sobie, jak z bicia trzaśł, regularnie pośrodku i mój zegareczek chodzi idealnie, bez błędu, lepiej od wszelkich chronometrów astronomicznych. Teraz jest—jak mówiłem poprzednio—dokładnie trzy kwadransy na siódmą.

Starszy pan jest wynalazcą. Prócz zegarka o dwóch werkach wymyślił jeszcze szklaną brzytwę, sposób wydobywania złota z piasku nadwiślańskiego, oraz zupełnie nową metodą ogrzewania mieszkań, która zwłaszcza ludziom niezamożnym—literatom, artystom—oddać może nieocenione usługi. Palimy w piecu poprostu nie węglem, ale wodą i otrzymujemy w pokoju temperaturę średnią około 2800 stopni powyżej zera. Oczywiście musimy podczas najcieńszego mrozu otwierać wszystkie okna, bo inaczej mury popękałyby z nadmiernego gorąca.

Kiedy z tej oto kawiarni pójdę do innej, znajdę przy małym stoliku pod bufetem innego

starszego pana. Ten znów zapisuje wzorami matematycznymi stosy serwetek papierowych, oblicza coś na marmurowym blacie, kalkuluje. Wymyślił bowiem własną funkcję i odtąd patrzy z pogardą na naiwne podręczniki algebry wyższej. Zapomocą tej funkcji rozwiązuje w mgnieniu oka najzawilsze zagadnienia nauk ścisłych, ujmuje w prostą formułę szczęście ludzkie, co jednak nie jest jedynym owocem jego działalności. Starszy pan wynalazł też nowe farby, nową teorię światła, odkrył przyczynę przesileni ekonomicznych, wie, jak uzdrowić chorą Europę, i przerobił zwyczajną wyżymaczkę od Treptego na drukarską maszynę rotacyjną.

Najdziwniejsze w tych dziwach jest jednak to, że wszyscy owi fantaści, marzyciele, wszyscy, którzy tak jednym zamachem ludzkość uszczęśliwićby chcieli — mają dziś conajmniej po lat pięćdziesiąt pięć. Dalekie plany, pomysły światoburcze trzymają się teraz głów mocno siwizną posrebrzonych. Jeżeli spotkacie gdzie człowieka, wołającego gromkim głosem: hej, ramię do ramienia! albo: dalej z posad, bryło świata, nowemi cię pchniemy tory — nie pytajcie go o paszport i o dowód osobisty. Ten człowiek urodził się napewno przed półwiekiem i należy

do wyrażerowanych oddawna roczników porobowych.

Młodzież współczesna bawi się bardziej statecznie i patrzy trzeźwiej na życie.

— Uroczą maseczko, poznałem cię odrazu — mówi młody Albin do ślicznej Lili na reducie „błękitnej”. — Chcesz? spotkamy się na następnej maskaradzie — żebyśmy zaś mieli temat do rozmowy, proponuję ci, o piękna, następującą grę w zielone. Ja kupuję od ciebie — na niby — dziesięć „Firleyów”, a ty odemnie — żartem — dwadzieścia Rudzkich drugiej emisji, co według dzisiejszego kursu giełdowego na jedno wychodzi. Spotykamy się tu w przyszłą sobotę i jeżeli twoje akcje pójdą w górę — wypłacam różnicę czekoladkami, w przeciwnym razie otrzymuję całusa loco bufet w Salach Redutowych...

Po balu maskowym śni smętny Albin o pięknej Lili i o tem, że jedzie samolotem do Lwowa, gdzie sprzedaje papiery przed nadjeściem notowań giełdy warszawskiej i nabywa w „Demobilu” samochód ciężarowy...

Mojem zdaniem — dziwna niedokrwistość naszej nowszej literatury dramatycznej tem się głównie tłumaczy, że komedje obyczajowe

pisują ludzie starsi, którzy z rytmu życia wypadli oddawna. Dla nich wciąż jeszcze Klara z Anielą są rozkosznie naiwne, jak w „Ślubach panieńskich”, a młody Guccio psoci i swawoli tak, że stryjasek z poważną panią Dobrójską mitygować go muszą. Zatopieni w starych szablonach, ludzie ci nie widzą, że czasy zmieniły się gruntownie—że dziś Guccio spoważniał, stary Radost zato jest niepoprawnym trzpio-tem i wchodzi do pokoju przez okno, Klara z Anielą biorą lekcje boksu i dżu-dżitsu, opiekują się panią Dobrójską i odprowadzają ją z wizyty u znajomych do domu, bo naiwna, lekkomyślna starowina bez osoby statecznej i doświadczonej nie mogłaby wyjść sama wieczorem na ulicę.

Nawet cztery panny Ciaputkiewiczówny zma-
drzały bardzo od czasów Bałuckiego, nie chodzą
już rzędem, jak gęsi, za energiczną mamą. Prze-
ciwnie! pracują w banku, grają na giełdzie i w
foot-ball w Agrykoli i, jeżeli zdarzy się jaki
większy „bal prasy”, prowadzą na salę za rękę
starą Ciaputkiewiczową, która przy tej okazji
drży ze wzruszenia i trzyma się kurczowo za fal-
banę albo za „szpongi” najmłodszej Ciaputkie-
wiczówny.

To też gdybym ja—broń Boże—pisał dramat ekspresjonisty niemieckiego, Hasenclevera, p. t. „Der Sohn”—pchnąłbym akcję zupełnie innym torem. Papa-lekkoduch siedziałby w pokoiku przy oknie, zapatrzony w poświatę księżycową, papa wzdychałby romantycznie, pisywał sonety do nieznajomej i odpowiadał na pytania *vers-librem*. Syn natomiast, trzeźwy, jak radca ministerjalny, karciłby ojca spojrzeniem, mroził go wzrokiem, odzierał ze złudzeń i gasił w nim porywy młodzieńcze słowem twardem, stanowczem i nierymowanem. Otrzymalibyśmy w ten sposób prawdziwie współczesny konflikt, tragedję rodzinną, w której tata ma lat dwadzieścia dwa, jego syn sześćdziesiąt cztery, mama chodzi na pensję, a córka na kursa akuszersyjne.

Niestety, żaden przedsiębiorca teatralny tego dramatu-by nie wystawił, — publiczność bowiem kocha się w komunałach i pragnie widzieć na scenie wiązanke z tych samych ciągle nieśmiertelników: szablon, oklepanki, kłamstwo konwencjonalne.

ZIELONY KRAWAT

— W tym sezonie — mówił inny przyjaciel mój, lekarz — będzie u nas znów bardzo modna t. zw. nienawiść rasowa. Co to właściwie jest takiego — o tem dowiedziałem się dopiero lat temu kilkanaście, w Monachjum.

Studjowałem tam wówczas w półroczu letniem medycynę, ściślej mówiąc; psychjatrję w klinice znakomitego Kraepelina. Otóż był sobie spokojny, cichy, aromatyczny wieczór czerwcowy, siedzieliśmy z rodakiem, kolegą P., na ławce przed sławetnym Ogrodem Angielskim i rozprawialiśmy — jak na dwóch gorliwych adeptów przystało — zapalczywie o najzawilszych zagadnieniach psychologii.

Mówiliśmy — a raczej prawdę rzekłszy — darliśmy się w najlepsze po polsku, kiedy

nagle, z mroku alei bocznej pomruk słyhać groźny, potok słów i wyrazów dolatuje: *Malefiz — Sacra -- Verflixte Kerls* — i ni stąd ni zowąd, tuż za poręczą ławki, widzimy dwóch przeraźliwie tęgich drabów, którzy bez dłuższych wstępów jednym uderzeniem pięści zwalają mi pocziwego kolegę P. na piasek.

Nim zdążyłem się zorientować w sytuacji i tego nieszczęsnego chuchraka P. z pod ławki wyciągnąć, już miałem na ciele kilka lżejszych obrażeń, kilka miejsc tłuczonych, zwanych wulgarnie siniakami, kilka dermatologicznie bardzo zajmujących uszkodzeń w naczyniach krwionośnych i guz wielkości przedwojennego jaja kurzego na czole.

Przemoc była najoczywściej po stronie nieprzyjaciół, więc postąpiłem sobie zupełnie tak samo, jakby Foch czy Hindenburg postąpili w podobnych okolicznościach. Postawiłem kolegę P. na nogi, dałem mu po karku i puściłem się z nim kurcgalopkiem w stronę Türkenstrasse. Tu, w pokoiku moim na trzecim piętrze doprowadziłem siły zbrojne — zapomocą waty, karbolu i plasterka angielskiego — do jakiego takiego porządku.

Nie traciliśmy przytem czasu napróżno: my-

jąc się w wodzie gulardowej, analizowaliśmy zupełnie sprawnie cały incydent wraz z jego podłożem psychologicznym.

W kraju pocziwych piwoszków-Bajuwarów nie było wówczas mowy o jakiejś animozji plemiennej, rasowej, o jakiejś nienawiści dla cudzoziemców. Polaków wesoła miejscina nad Izarą, zaludniona studentami i malarzami, witała równie serdecznie, jak Anglików, Hindusów, Rosjan i Francuzów.

Skąd więc ten napad nocny? skąd ten wybuch niespodziewany?

Nie będę was dłużej trzymał w niepewności. Oto rezultat naszych dociekań. Dwóch podpiętych drabów z parku podrażnił poprostu dźwięk, rytm obcego języka, rozjuszył ich i zirytował szereg słów niezrozumiałych w ciszy letniego wieczoru. Zagrał w nich nagle ów prymitywny, zwierzęcy instynkt, który każe stadu głupiego ptactwa zadziobywać na śmierć osobnika własnego gatunku dlatego, że jest ociupinkę inaczej upierzony.

Ten właśnie kategoryczny imperatyw indyka czy gąsiora budzi się w stadzie ludzkim bardzo często. Pamiętam — na dwa czy trzy lata przed wojną — firmy paryskie próbowały wprowadzić

dla odmiany ciekawą modę: szarawary tureckie zamiast spódnic, innemi słowy t. zw. juppesculottes. Utartym zwyczajem panowie Paquin i Worth oddali w owe culotty kilka bardzo miłych modystek i posłali je na wyścigi. Efekt był zdumiewający.

Tłum nie tylko szydził i drwił z nieszczęśliwych modelek i nie tylko wytykał je palcami. Zapędzono młode, przystojne kobieciny do jakiejś bramy, szarpano na nich ubranie, wygrażano im pięściami, kijami — ledwie z życiem uszły, chociaż w ekscesach brał udział najwykwintniejszy mob paryski, słynny ze swej galanterji i przysłowiowego kultu dla płci piękniejszej. Widocznie nawet gruba warstewka kultury pęka pod naporem pewnych głupkowatych instynktów atawistycznych.

Kto się chce o tem przekonać na własnej skórze, niech wykona, nic nikomu nie mówiąc, eksperyment następujący. Niech pójdzie na elegancki bal publiczny w nieskazitelnym smokingu, ale niech przy tej okazji wzuje żółte półbuty i na kołnierzyku frakowej koszuli zawiąże — zielony krawat.

Nie tylko drwiny, żarty, docinki, złe kalembury padać będą na jego upomadowaną głowę,

o nie! Tłum go otoczy, wrogie ryki rozlegną się tu i owdzie, aż nagle z kąta sali wyskoczy jakiś domorosły teoretyk-póldjota, i dowodzić pocznie zebrany, że mają rację zupełną, że pan w zielonym krawacie jest od nich rasowo niższy, czycha na ich zgubę, był członkiem mafji, Czarnej Ręki, Żółtego Trójkąta. Nieszczęśnik dowie się, że już jego przodkowie byli podejrzani, że dawniej obserwowano nieraz ludzi w zielonych krawatach, którzy mieli tendencje wywrotowe, nic dobrego nie zrobili, ani jednego wielkiego poety nie wydali, w sztuce i kulturze żadnej roli nie odegrali.

Zielony krawat jest niesłychaną prowokacją, powinien być natychmiast zdarty z szyi razem z głową, bo w ten tylko sposób w kraju zaprowadzić może ład i porządek. Dopóki choć jedna noga w żółtym bucie i jedna szyja w zielonym krawacie istnieć będzie wśród nas, marka w górę nie pójdzie, drożyzna nie ustanie, eksport importowi nie dorówna, szkoły nie dadzą sobie rady z analfabetyzmem, tabor tramwajowy się nie powiększy, sztuka ordynarnemu psu się na budę nie zda, przemysł z gruzów nie powstanie i Wisła co rok będzie wylewała... I wraz dziki wrzask i tumult zapanuje na sali, popłoch, wycie i bijatyka.

Z bólem serca stwierdzić muszę, że biedna, ciemna, otumaniona Warszawa nie jest jedynym terenem tego rodzaju widowisk i popisów oratorskich. Zawsze ilekroć Wallończyk gnębi Flamanda, Jankes Murzyna, Japończyk Koreańczyka, ilekroć Grek wali Turka, Turék łupi Armeńczyka, Bułgar rżnie Serba, Arab Kurda — zjawia się na zawołanie jakiś Filip z Konopi, jakiś pospolity cymbał domesticus, i usprawiedliwia to wszystko na zasadzie głębokiej, własnej, patentowanej filozofji.

DUCHY W MIEŚCIE

— Przychodzi do nas przeważnie w godzinach wieczorowych — mówił człowiek zupełnie solidny, ojciec dzieciom i fotograf z zawodu. — Jest wzrostu małego, tak, że tylko głowę widać nad stołem. Głowę ma dużą, baloniastą. Widział go Wicek, Józefowa, moja żona, tapicer. Nie mówi nic, siada, siedzi. Czasem przestawia sobie meble w salonie. Fotel gdzie kanapa, kanapa gdzie puf. I teraz dopiero, kiedy mieszkanie kupiłem, powiadają mi, że go znają, że o nim wiedzieli. To jeden z poprzednich lokatorów, emeryt. Dziewięćdziesiąt milionów za te cztery pokoje na Nowowiejskiej zapłaciłem — i, patrzcie państwo, nikt mnie nie ostrzegł! Nikt pary z ust nie puścił! To jest uczciwość ludzka i solidność kupiecka. Tylko w Warszawie takie

oszustwo bezkarnie ujść może. Sprzedać komuś za takie pieniądze mieszkanie — z duchem. Czy by to gdzie zagranicą policja na coś podobnego pozwoliła?

Chwila milczenia... Wreszcie malarz odsapnął i rzekł:

— Musiał być straszny idjota ten z baloniastą głową. Wracać z tamtego świata na Nowowiejską! Jabym się osiedlił w Paryżu.

Poczem rozmowa potoczyła się dość wartko i przyjemnie. Mówiono o Czarnej Damie z Powązek, o Czarnej Ręce p. Pieńkowskiego, o deklamacjach Deotymy na seansie z Guzikiem, o broszce, którą inżynier Osemkowski odnalazł telepatycznie, siłą wyobraźni, w kieszeni pewnego urzędnika. Przypomniano sobie fakt, wielokrotnie przez świadków stwierdzony, że Fajgenbłat, dentysta, potrafi się na zawołanie rozdwoić, przyczem jedną połową jaźni siedzi blady, jak widmo, na premjerze w Qui-pro-quo, a drugą — u narzeczonej, na Krochmalnej.

Niejaki p. Dzieżkowski, wzdrygając się jeszcze i teraz na samo wspomnienie, opowiadał szepem, jak to w kilka miesięcy po najściu bolszewików walczyć musiał po całych nocach z jakimś Dyrdułą. Ów Dyrduła zginął był już dawniej —

w czasie wojny światowej. Ale — niewiadomo dlaczego — zjawił się znów po latach kilku i, chcąc zaspokoić — dość zrozumiałą w jego położeniu — żądę materjalizacji, postanowił osiedlić się w nim, Dzieżkowskim, i wysiadać podstępnie właściciela prawnego z jego powłoki cielesnej. Okrutne zapasy trwały przez całe dwa tygodnie: czasami przychodził do kawiarni Kresowej Dyrduła i robił przeróżne świństwa w imieniu Dzieżkowskiego, czasami znowu Dzieżkowski, uzyskawszy cudem prawo eksmisji, wyrzucał z własnego ciała Dyrdułę i szedł na miasto dla załatwienia pilniejszych interesów. Sprawa zaostrzała się coraz bardziej — aż raz wreszcie Dyrduła charakterem Dzieżkowskiego napisał weksel na sto milionów marek i artykuł wstępny do Gazety „dwa grosze“.

— Tu — rzekł Dzieżkowski — zebrałem resztki sił, przeczytałem dzieła wielkiego Eliphasa, poszedłem na odczyt popularny p. t. „Yoga“, zastosowałem środki radykalne. Dyrduła uciekł, zabrawszy mi złoty zegarek, jedną akcję żyrardowską i obrazek Rembrandta „Napoleon pod Berezyną“. Cóż pan na to, panie doktorze?

Dr. B., jeden z najzdolniejszych u nas psychoanalityków, uśmiechnął się łagodnie.

— Fakty, o których państwo mówią, obchodzą więcej filozofa i publicystę, niż psychjatrę. Stwierdzają bowiem poprostu raz jeszcze tę dość znaną teorję, że największe prawdy powstają sobie i giną po kilkunastu latach — a głupstwo trwa wiecznie. Czy ludzkość w postępie swoim zgubiła kiedy jaki absurd po drodze? Wszystkie gusła, zabobony i brednie kwitną sobie wesołutko naokół. Od lat czterystu mamy teorję Kopernika, mamy astronomję, astrofizykę, — ciała niebieskie znamy, jak zły szeląg, wiemy, czem są i czem my wobec nich jesteśmy — a w cukierce narożnej siedzi sobie i dziś jeszcze przy stoliku domorosły astrolog, prawi o słońcu w dwunastym domu, o Jowiszu, który źle wpłynął na noworodka, o gwiazdozbiorze Wagi, który Dyrdułskiemu przeszkodził w sprawach erotycznych. Medycyna rozporządza dziś promieniami ultrafioletowemi, prześwietla tkanki nawskroś promieniami Röntgena, a w każdej wsi praktykuje znachor i leczy rany okadzaniem, zdrowaśką i dymem jałowcowym. Socjologja od wieków zmudnie prawa ustala, a w każdej gazetce dwugroszowej jakiś owczarz polityczny chwali się, że ma środek niezawodny na wszystkie kryzysy ekonomiczne.

Na dobrą sprawę — mam nawet wrażenie, że właśnie teraz, właśnie dziś, po tylu wiekach pracy i kultury, bogini *Stultitia*, o krórej już Erazm z Rotterdamu bardzo pochlebnie pisał, więcej ma wyznawców, niż kiedykolwiek. Całe tłumy manjaków — nie mówiąc już o zwyczajnych idjotach — biegają luzem po mieście, wszczynając zamęt i harmider. Ten się nogą stołową porozumiał ze Słowackim i wie jak ratować kulturę polską, ów w przepowiedniach z wieku XVI-ego znalazł przepis na podniesienie kursu waluty, inny na prorocत्वach Wernyhory chce oprzeć regulamin sejmowy, formularz pasportowy i cyrkularz w sprawie rejestracji obór zarodowych — typowy debil, człowiek chory na manję prześladowczą, pisuje w piśmie dość poczytnem sprawozdania literackie i teatralne.

Maluczko — a będziemy musieli w stołecznym mieście Warszawie zafundować sobie zupełnie nowy rodzaj Pogotowia Ratunkowego. Lekarze dyżurni będą jeździli karetkami po ulicach, udzielając metodą Freuda natychmiastowej pomocy psychicznej.

Zaoszczędzimy w ten sposób sporo pracy i trudu publicystom, którzy — mojem zdaniem bezowocnie — usiłują przekonać okazowych, klinicznych

manjaków i histeryków argumentami logicznymi. Taki argument — właśnie dlatego, że jest słuszny — działa w wypadkach, o których mowa, najgorzej, bo umacnia pacjenta w jego warjackiej *idée fixe*.

„LA DONNA È MOBILE”

Głosowanie stało się jedną z najulubieńszych rozrywek masowych smutnej Warszawy dzisiejszej i urny wyborcze miały niedawno szalony popyt. Ludzie doszli do wniosku, że czekając w długim ogonie przed pocztą albo przed halą targową, można czas zabić doskonale, zawrzeć kilka zajmujących znajomości, pogadać z sąsiadami, wymienić zdanie własne na lepsze.

Mówiono mi też, że grono obywateli tego grodu chce się zwrócić do magistratu z propozycją, aby podział na okręgi i na obwody zatrzymał i pozwolił znękanym, zbiedzonemu mieszkaniom stolicy gromadzić się co niedziela przed politechniką albo pocztową kasą oszczędności. Panowie ci twierdzą, że ogony należy

tworzyć bez celu, dla rozrywki. W ten sposób dopiero ujawni się ich charakter kształcący i ich wpływ zbawienny na psychikę. Rzeczywiście! O ile ogon cukrowy np. jest zjawiskiem niepożądanem, bo wytwarza w ludziach zaciekłość i chęć utopienia bliźniego w łyżce wody, o tyle ogon bezcelowy, ogon dla ogona, ma niesłychane znaczenie pedagogiczne. Obywatele, stłoczeni przez trzy godziny na brurowanym czworoboku przed P. K. O., albo przed instytutem głuchoniemych, puszczają z nudów pewne astralne nici sympatii, które zahaczają nieraz nawet wrogów osobistych i politycznych. Wobec nędzy mieszkaniowej i wobec zupełnego braku sal koncertowych, teatrów ludowych, klubów, bibliotek—ogonek jest przytem jedyną okazją do zadzierzgnięcia pewnych niezbędnych węzłów, i kto wie, ile szczęśliwych małżeństw zawdzięczać będziemy wielogodzinnemu miętoseniu się tłumów przed stolikiem № 227, albo 331...

Tak czy owak, pocziwa, niesłusznie przez wszystkich zwymyślana Warszawa i urągliwie tak zwani „warszawiści”, złożyli pewnej niedzieli dowód, że interesuje ich coś więcej — prócz bezecnego „Syna Casanowy”.

Ale istnieją fakty jeszcze bardziej zdumiewające. Przyjaciel mój i kolega, fizyk, dr. nauk ścisłych, wygłasza w dużej sali — świetny zresztą — odczyt o Einsteinie i teorii względności. Ten oderwany, suchy, matematyczny przedmiot, streszczenie karkołomnych dociekań nad sprawą, czym jest czas, przestrzeń, ruch, wszechświat, eter, energia, tak porywa i fascynuje ludzi, że już o godzinie 5-ej bilety są rozchwytywane, a wieczorem mury nabitej sali wyginają się nazewnątrz pod naporem tłumu. Dzieje się to zaś w tej samej chwili, w której obserwator, mknący ruchem jednostajnym i przyspieszonym do Filharmonji, mógłby dostrzec zatrważające „puchy” na pieprznym panu Vienspoupoulu i jego pikantnej historii.

Maluczko - a dyrektorzy naszych teatrów, których śmiało możemy pomawiać o brak aspiracji artystycznych, ale nie o brak zmysłu praktycznego i subtelnego unerwienia w kiszce dochodowej, przejrzą na oczy, zapłacą penale, rozpuszczą uwodzicieli, amantów i bon-vivan-tów. Na obrotowej scenie Teatru Polskiego, w feerycznych dekoracjach pędzla Frycza, oświetlony reflektorami i światłem rampy, będzie ktoś spokojnie wykladał teorię budowy

atomów Nielsa Bohra — a na scenie Teatru Małego, zamiast podejrzanych „articles de Paris”, ujrzymy dla bywalców odpowiednie obrazy nękające, ilustrujące metodę odmładzania starców, prof. Steinacha z Wiednia.

Mówiąc poważniej — mam wrażenie, panowie, że niesłusznie traktujemy publiczność warszawską — stale i zawsze — jak bandę zulusów. *La donna è mobile* i teraz żąda czego innego: świecidełka bezwartościowe, które — śmiejąc się w kułak — wymienialiśmy na monetę, w kraju obieg mającą, przestały bawić współobywateli naszych. Tandeta w prasie brukowej, tandeta w teatrach, tandeta w kinach — przestaje się jakoś powoli opłacać. Kiepski film ludzie tak subtelnie potrafią wyczuć na odległość, że już w dzień premjery — przed sprawozdaniami gazet i relacjami poczty pantoflowej — widać przeraźliwe pustki w przedsionku, przed kasą. Kiepski teatr chyli się do upadku, bez względu na to, czy jego nędza jest mniej czy więcej błyszcząca.

Jednocześnie zaś — niezwykle sukces odczytów naukowych, wieczorów literackich, lepszych koncertów, protesty na premierach, świadczą wymownie o tem, że należałoby wreszcie ude-

rzyć w strunę drugą i zacząć z innej beczki. Ukuliśmy sobie podczas wojny kilka wygodnych komunałów o zdziczeniu, o opanowaniu życia przez chamstwo, o spekulantach, o paskarzach.

Ale zapominamy, że tę cieniutką powłokę kultury, którą posiadaliśmy dotąd, łatwo jest zdobyć i że—najbardziej śmieszny w komedjach z ogródka — *nouveau-riche* oddawna mógł się ucywilizować. Miał czas po temu, chociaż nie miał okazji...

Zwłaszcza — że, jako z natury swej sprytny i stary wróbel, łatwiej instynktem plewy odróżnić potrafi, niż my—ludzie przedwojenni. Dowodem choćby — krótki żywot wszelkiego rodzaju humbugów literackich, głupstewek w plastyce i komedijek bulwarowo-alkowianych.

Nouveau-riche stał się oddawna normalnym *vieux-riche*m. Widocznie czas jest doprawdy rzeczą względną i teraz — po wojnie — upływa prędzej, niż nam się zdawało.

PRELEKCJA O TAŃCU

W wieczór Sylwestrowy przyjaciel mój, profesor, zebrał w jedynym pokoiku, w którym jeszcze nie tańczono, tłum złożony co najmniej z trzech osób, nalał nam szampana do wysmukłych kielichów i rozpoczął prelekcję temi słowy:

— Szanowni słuchacze! Na wstępie zaznaczyć muszę, że wedle moich obserwacji najdłużej żyje na świecie *Głupstwo*. W tej rodzinie wypadki śmierci są nader rzadkie, każdy *Idjotyzm* trwa przez wieki całe i żaden bakcyl się go nie ima. Mimo bajecznych postępów wiedzy, mimo niezwykłych odkryć w nauce o kosmosie, mamy i dziś jeszcze chmary astrologów, którzy wygłaszają odczyty publiczne i cieszą się doskonałym zdrowiem. Mimo wszelkich zdobyczy

chirurgji, biologji, terapii — posiadamy i dziś jeszcze całe bandy znachorów i owczarzy, którym powodzi się świetnie. Kto chce być prawdziwie nieśmiertelny, niech wymyśli jaki potworny absurd, a może być pewien, że nawet po wiekach dwudziestu gdzieś tam, kiedyś, jego nonsens w kimś odżyje i zakwitnie na podziw.

Znikome i śmiertelne są tylko rzeczy mądre i piękne. Dlatego właśnie wyszła z użycia chlamida grecka i dlatego zastąpiliśmy ją frakiem. Dlatego też nikt z nas dzisiaj nie nosi wzorzystego turbanu na głowie, nakrywa natomiast chętnie łysinę idjotycznym melonem.

Jeżeli taniec, drodzy przyjaciele, w czasach nowszych zamiera, jeżeli stał się zjawiskiem rzadkiem i niepospolitem, jeżeli oglądamy go tylko w okazjach specjalnych — na scenie, na balu — nie wyprowadzajcie stąd błędnego wniosku, kochani moi, że jest to rozrywka głupia. Gdyby był rozrywką głupią, oglądalibyśmy go codzień na każdym rogu ulicy, w każdej kawiarni i na każdym zebraniu przedwyborczem.

Taniec odegrał wielką rolę w dziejach ludzkości i żebyśmy go tak wykreślili raptem z kart historii — kto wie, czy Napoleon Wielki

byłby taki wielki, czy Juljusz Cezar przyszedłby wogóle na świat i czy Krysztof Kolumb chciałby odkrywać Amerykę.

Niestety! to, na co patrzymy dzisiaj, jest marnem zjawiskiem szczątkowem, nikłym echem świetnych czasów minionych, parodią, pustą formą, przystosowaną jedynie do celów matrymonjalnych. Ponieważ pan Emil w tłoku życia wielkomiejskiego nigdzie już nie może być sam na sam z panną Moniką, chwytą więc ją po prostu wpół, prowadzi na wywoskowaną posadzkę i mówi w takt melodji „o, bajadero”: — Kocham panią od pierwszego wejrzenia, raz, dwa, trzy. Pracuję w ministerjum robót publicznych, prawa nóżka! Gdyby pani chciała los swój połączyć z moim, boczna figura, korpusik lekko, przegięcie, szczęście moje nie miałoby granic ani od wschodu, ani od zachodu, ewolucja, obrót. Gdybym mógł posiąść na zawsze rękę, którą pani złożyła na mojej łopacie, duże kroki z przykucaniem, kupiłbym trzy pokoje z kuchnią na Solcu. W tem mieszkaniu trochę sufit zacieka i trochę straszy, mianowicie nieboszcza babka poprzedniego lokatora zjawia się w juppe’s-culottach i rzuca rondlami, ale gniazdko nasze — przyciskamy się do siebie, odsuwając lewą

nogę .. opromienilibyśmy uczuciem i wytapetowali na nowo, pas foxtrottowe... raz, dwa, raz, tempo.

Jakże daleko jesteśmy tu, szanowni słuchacze, od czasów, kiedy taniec towarzyszył nieodmiennie każdemu wielkiemu faktowi przełomowemu, każdemu wypadkowi w życiu gromad ludzkich. Pamiętacie?

Ilekróć sędziwy wódz plemienia Inkasów postanawiał po namyśle w pień wyciąć i oskalpować sąsiednie plemię Irokezów, zbierał lud swój — najbardziej zgrzybiałych starców i najczcigodniejsze matrony — do kupy, zapalał ogniska i puszczał się w tan zawrotny, podśpiewując sobie coś w rodzaju: „o Bimbolo”, tudzież: „każda panna tańczy shimmy”.

A dziś? Nudne polemiki w prasie, walki, napaści, kłótnie, odezwy ... Bez wdzięku, bez rytmów muzycznych, bez podrygów wesołych. Czy słyszał kto kiedy, żeby prowodyr naszych *enpepeperów* wypowiedział walkę *luendepekom*, wykonywając przytem na trybunie wiecowej sambo albo bostona? Czy czytał kto kiedy komunikat dyrekcji: dziś — w odpowiedzi na napaści prasowe panów recenzentów — kierownik literacki Teatru Średniego wykona przed roz-

poczęciem sztuki *pas de fleurs*, *pas redoublé*, ragtime'a i taniec wśród mieczów?

Czy był wypadek, żeby związek autorów dramatycznych, protestując przeciwko uszczypliwym krytykom po gazetach, ująwszy się za ręce, tańczył kontredansa — z czcigodnym prezesem swoim na czele? Czy zdarzyło się kiedy za dni naszych, żeby dziennikarz — zamiast pisać długi artykuł, naszpikowany obelżywymi wyrazami i wycieczkami osobistymi — wycinał poprostu polkę w lewo, albo tramblantkę „z fifem”, przytupując tu i owdzie, i podśpiewując dziś-dziś-dziś?

Nie, szanowni słuchacze moi. Piękne obyczaje giną tak, jak piękne mody. Życie jest coraz smutniejsze i brzydsze.

Tu wychyliliśmy z profesorem jeszcze jeden kieliszek wina, poczem świadomość moja przysnęła na czas dłuższy.

VILLE-LUMIERE

Żyjemy w czasach smutnych, ale też mieszkamy w jednej z bardziej ponurych stolic europejskich.

Rdzenny obywatel tego miasta zrywa się, obudzony jakąś złowieszczą awanturą uliczną. Już w bramie domu wita go dozorca szeregiem uwag nieprzychylnych. W tramwaju konduktor z osiemnastki przeprowadza jakieś paralele między bydlęciem i pasażerem, które niestety nie wypadają na korzyść pasażera. W natłoczonej cukierni sztyderczo uśmiechnięty kelner wylewa herbatę na spódnie tegoż obywatela. W przepelnionej restauracji pikolo podaje mu kartę z taką miną, jakby go chciał wyzwać na pojedynek. Kiedy ma interes na pocztce — panienska z okienka przeklina go aż do trzeciego pokolenia słowami z proroka

Jeremjasza. Kiedy siada do dryndy — klnie go siarczyście dorożkarz, kiedy idzie do teatru — złorzeczy mu okrutnie autor najnowszej *dernjery*. Nawet w nocnym *music-hallu* szydzą z niego i urągają bezlitośnie jego nędzy.

Biedny obywatel tego grodu nie wie do prawdy, gdzie się ma ukryć właściwie. Zarząd miasta pomyślał o wszystkim. Dbą o to, żeby bruki były kiepskie, żeby ulice były brudne i pomniki paskudne. Jedyną godziwą rozrywkę — kinematograf — obłożono takimi podatkami, że stać nas już tylko na obdarte, stare fabrykaty zagraniczne.

W najokrutniejszych czasach minionych istniało jakieś kuratorjum, które czuwało nad tem, żeby — prócz wódki i morfiny — zapewnić też jakąś inną „odżywkę“ nerwom, starganym w tłoku wielkomiejskim. Dziś, posiadamy świetne komisje magistrackie, wzorowe urzędy cenzuralne, wszystko to, co gnębi, wycina, zakazuje, wytacza procesy, oskarża — rozwija się na podziw pięknie. Zato miasto wieczorem wygląda jak potworny zjazd walny zawodowego związku karawaniarzy. Ani przyzwoitej sali bibliotecznej, ani muzeum, ani klubu, ani koncertu, ani teatru naukowego, ani czytelní, ani sali odczytowej.

Świadomi rzeczy twierdzą, że umrzyki na Powązkach bawią się w karnawale lepiej, niż my w śródmieściu.

Kiedy przyjeżdża nowy ambasador chiński albo kiedy Rzeczpospolita w Paragwaju obchodzi maleńki jubileusz, zapraszamy ciało dyplomatyczne na przedstawienie galowe. I wieziemy to ciało do Teatru Letniego, do drewnianej sto-doły, ukrytej w najbardziej podejrzanych haszczach Ogrodu Saskiego. Ambasador chiński i poseł z Paragwaju zasiadają w jakimś potwornym okrągłaku, który przypomina karuzel, prowizorycznie ustawiony na dorocznym jarmarku w krainie samojedów. Doprawdy milszem dla oka widowiskiem byłby cmentarz na Bródnie, i dziw, że rada miejska tam właśnie nie urządza swoich recepcyj.

Mojem zdaniem municypalność nasza zapomniała zupełnie o godle, które zdobi tabory, wozy, szalety, tramwaje i budynki. Zapomniała o wdzięcznej syrenie z mieczykiem z przodu i rybim ogonkiem z tyłu. Zapomniała o figlar-nem przezwisku, którem jakiś chory na delirium tremens cudzoziemiec ochrzcił Warszawę.

Panowie! jesteście, jak powszechnie wiadomo, Paryżem północy! Tylko—nadwiślańska „ville-lu-

mière“ jest jak wielkie mare tanebrarum, po którym owa dziwożona z herbu pływa, zawodząc głosem syreny okrętowej.

Sfery miarodajne powinny się zdobyć na odrobinę humoru i fantazji, powinny zebrać wszystkie siły, obłożyć raz jeszcze daniną kine-matografy, teatry prywatne, dancingi, boiska atletów i trybuny wyścigowe, powinny rozpocząć wielką kwestę — na „kroplę wesołości“ albo na „swawolny uśmiech“, albo na „chwilę zapom-nienia“.

Obawiam się tylko, że kina, teatry, dancingi, boiska i tory wyścigowe nie wytrzymają już tego podatku i przestaną istnieć, a magistrat, zgromadziwszy nowe miljardy, wydeleguje czterech panów, którzy od dwóch lat wywożą uporczywie gruz z terenów „Rozmaitości“, gdzieś na Solec. Tu każą im otaczać kolumnadą śmietnik centralny, albo sadzić kwiatki przed rzeźnią. Czterej panowie będą uprawiali klipę gdziein-dziej, a mieszkańcy miasta — pozbawieni do reszty wszystkiego, co cywilizacja dla każdego większego zbiorowiska ludzkiego wymyśliła — oszaleją z nudów i łązić poczną po gałęziach drzew Ogrodu Saskiego, zczepiając się kończy-nami, jako stado wyjców afrykańskich.

LEP NA MUCHY

Przyszedł do mnie bardzo podniecony, miał niezdrowe błyski w oczach, rumieńce podejrzanego na twarzy i płócienną walizkę w ręku.

Oznajmił mi, że ma tego wyżej uszu, zirytował się i wyjeżdża.

— Co na tę decyzję rozpaczliwą wpłynęło, kolego? — rzekłem.

— Sprawa jest, na pierwszy rzut oka — błaża, ale zawsze kropla przepełnia naczynie i, krótko mówiąc, rzecz się ma tak.

— Mieszkam w pobliżu hal targowych i okno moje wychodzi na ulicę. Codziennie rano staję pod tem oknem na chodniku pewien wyrostek, otwiera niewielką tekturową tęgą i wydobywa raptem ze ściśniętej gardzieli jakiś, djabło do zgrzytu tępej piły podobny, skrzek, jakiś — lichy

wie w jakiej kozackiej tonacji skomponowany — frazes muzyczny: *ljep na muchi ljep!* Potem dwa takty pauzy i, kiedy się słuchacz najmniej tego spodziewa, znowu fortissimo: *ljep na muchi ljep!* I znów dwa takty pauzy, i znów *con brio* *ljep na muchi...* Tak to trwa od ósmej do drugiej, bez względu na pogodę, ciśnienie, kierunek wiatru, stan zachmurzenia i temperaturę. W moim pokoju—jak zauważyłem—muchy zdychają masowo na dźwięk tego głosu i doprawdy nie wiem poco, ja albo moi sąsiedzi mielibyśmy jeszcze papier w mroźne, dżdżyste lato nabywać. Ale to młodego fabrykanta widocznie nie obchodzi.

Codzień z dokładnością metronomu bębenki uszne całej dzielnicy porusza rytmicznie aż do pęknięcia, wypręża i rozpręża, kaleczy i masakruje ów potworny lep na muchy, lep.

Wiem, co mi pan powie. Jako obywatel kraju powinienem się cieszyć, że przemysł się rozwija, eksport rośnie, wytwórczość kwitnie i ktoś tam w cichej suterenie papier na muchy produkuje.

Cieszę się teoretycznie, ale diabli mnie biorą — praktycznie!

Bo dlaczego u nas nikt, proszę pana, takiej

rzeczy nie wymyśli, któraby bliźniemu sprawiała satysfakcję? Dlaczego zawsze lep na muchy? Dlaczego inteligencja wszystkich wynalazców się wysila, pomysłowość wszystkich krajowych genjuszów na jeden jedyny efekt sięstawia — żeby sąsiadowi sprawić maximum przykrości? Do gazet angażują najstarszych wyjadaczy literackich na recenzentów—niech tam, panie, młodym skórę łożą, w biurach państwowych specjalnie głodzą urzędników, żeby się rzucali na publiczność. Panienki z telefonów zamiast eurytmji—uczą się jak należy „obsztorcowywać“ abonenta.

Czy pan, przechodząc ulicami, miał kiedy wrażenie, że choćby jeden człowiek to miasto lubi, że komuś tu jest dobrze i wesoło? Z kamienic, ludzi, koni dorożkarskich jakiś witrjol się wydobywa, pijak wali pijaka, stróż klnie lokatora, praczka klijenta, czytelnik autora...

Otrząsam pył z sandałów i przenoszę się do Milanówka. Zakładamy tam kolonję literacko-malarską... Kto z Warszawy przyjedzie, będzie musiał oddać ubranie do dezynfekcji, umysł do odświeżenia, duszę do odprasowania. Musi przyjąć, że nie będzie czytywał pism, powtarzał plotek, znosił niedyskrecyj teatralnych, nie bę-

dzie gadał o giełdzie, premierach i innych zbytecznych szyfmaństwach.

— Dobrze, ale z czego wy tam będziecie żyli?

— Mam już pewien plan—rzekł tajemniczo.— Otaczamy się kordonem, wprowadzamy własny język, wysyłamy delegata do Ligi Narodów i żądamy „samookreślenia”...

— Pan chce oderwać Milanówek od Rzeczypospolitej?!

— Tak jest. San Marino i Azaberdżjan może istnieć, a Milanówek nie? Kolega Dryzdalski ma pięć rubli w złocie i zegarek. Wprowadzamy banknoty w ściśle ograniczonej ilości, opieramy emisję na zdrowych podstawach finansowych, stabilizujemy walutę. Prócz tego pobieramy cła tranzytowe od towarów, przewożonych do Łowicza, i żądamy wiz, płatnych w dolarach, od ludzi, jadących do Pruszkowa. Wzamian zakładamy szkoły i uczymy dzieci przedewszystkiem szacunku dla ludzi i pracy.

Ponieważ istotą wszelkich trwalszych podbojów—jak uczy na każdej karcie historia—jest nie siła brutalna, ale raczej jakaś moc wewnętrzna, naturalne ciążenie krajów ościennych i źle rządzonych do organizacji rozsądniejszych, lepszych,

praktyczniejszych, szczęśliwszych—wkrótce więc przyłączą się do nas samorzutnie Brwinów, Uciecha, Grodzisk i Skierniewice. Wtedy na koszt wspólny nabywamy konia i sadzamy na nim człowieka w mundurze, z rewolwerem. Większe skupiska takich młodzieńców nie opłacają się, narażają kraj na niepotrzebne wydatki. Zresztą w znękanej, biednej, wyczerpanej, rozpaczonej Europie nasz konny policjant będzie w owym czasie największą siłą zbrojną lądową. Każemy mu wyruszyć w świat i okupować — dla ich własnego dobra — Bałkany, Turcję, Grecję, Azję Mniejszą.

W ten sam sposób, dobrawszy sobie do pomocy nocnego stróża, żandarm nasz wcieli do Milanówka Włochy, Jugosławję, Niemcy, Francję i kraje skandynawskie. Wszędzie, gdzie noga nasza stanie, znosimy ograniczenia paszportowe, uzdrawiamy pieniądze, budujemy fabryki, rozpuszczamy do domów chmury urzędników. Pozwalamy ludziom mówić o słońcu, o kanarkach, o brukwi, o hodowli drobiu, ale tępiimy jałowe dyskusje polityczne, ogłupiające debaty teatralne, sensacyjne wiadomości kurjerkowe, mistyczne brednie i fantazje kawiar-
niane.

Po kilku latach Europa odzyskuje wiarę we własne siły, powstaje nowożytne, szczęśliwe, mocne imperjum rzymskie — z centralą w Milanówku.

Jeżeli później będziemy mieli ochotę — możemy się znów wszyscy podzielić i wziąć za łby. Ale chwila pauzy — kwadrans rekreacji, jak za czasów szkolnych — słusznie nam się po tylu latach należy.

$$2 \times 2 = 5$$

Co się właściwie stało z ludźmi, o których mówiliśmy złośliwie, że trzech zliczyć nie potrafią? Gdzież są prostaczkowie i ubodzy duchem, którzy wszystkie manipulacje rachunkowe na własnych dziesięciu palcach wykonywali? Zginęli widać, jak senna mara, zeszli z tego świata bezpotomnie.

Dziś każdy pędrak gazeciarski liczy na tysiące, każdy papierosiarz i zapalczarz obraca krociami, skromny handlarz podwórkowy targuje się o miljardy, każda kuchta sumuje liczby sześciocyfrowe...

Pod jednym przynajmniej względem wojna wpłynęła dodatnio na psychikę ludzką. Rozwinęła nas matematycznie, otrzaskała z arytmetyką, spoufalila z cyframi.

Ile to się musiał namęczyć dawniej biedny nauczyciel domowy, nim wytłumaczył i uzmysłowił dzieciom, jaka odległość dzieli ziemię od Saturna, jaką masę ma słońce... Dziś niema już trudności, wszystko pojmujemy w lot, nawet rzeczy, od których nieboszczyk Newton razem z nieboszczykiem Kartezjuszem dostaliby pomieszania zmysłów.

— Trzeba wam wiedzieć — mówi pedagog współczesny małym dzieciakom w szkółce początkowej, — że światło szerzy się w przestrzeni z szybkością przeraźliwie wielką. Mogłoby w ciągu sekundy oblecieć ziemię osiem razy dookoła. Nikt tej zawrotnej prędkości — przed wojną — umysłem ogarnąć nie mógł. Istotnie bowiem nawet najżwawsze ruchy na ziemi są wobec niej tem, czem jest marka polska wobec funta angielskiego.

I małe dzieciaki rozumieją odrazu, uśmiechają się dobrotliwie i litują nad ludźmi przedwojennymi, którym taka cyfra mogła spokój zamącić.

Matematyka nie straszy już nawet dorastających panienek na pensjach. Profesor geometrii czy kosmografii ma pod ręką zapas porównań bardzo obrazowych, jest zrozumialszy, daje w wypadkach trudniejszych łatwe reguły mnemotechniczne:

— Szanowne panie! Paryska wieża Eiffla jest jednym z najwyższych budynków w Europie. W zestawieniu z ziarnkiem piasku wygląda — i to zupełnie ściśle — jak ćwierć dolara przy naszej jednostce monetarnej.

Dzięki doświadczeniom powojennym i walutowym skala naszych wzruszeń rozszerzyła się znacznie, i niema już rzeczy ani tak wielkiej, ani tak małej, aby się inteligencji naszej wymknąć mogła. Rozmiary atomu? — Przypuśćmy, że łypek od szpilki — mówi fizyk — to korona duńska. Wtedy średnica atomu wygląda jak dwie marki pięćdziesiąt fenigów.

Od lat dwóch czy trzech warszawiak, dla którego dawniej najwyższą cyfrą na świecie była ilość domów na Marszałkowskiej, nie dziwi się już wcale, kiedy mu powiedzą znienacka, ile kilometrów długości ma wszechświat podług Einsteina, ile sekund upłynęło od epoki kredowej, albo ile gwiazd zawiera Droga Mleczna. Kiwa głową, udaje zdumienie przez uprzejmość, poczem natychmiast chwyta rozmówcę za guzik i replikuje:

— To oszałamiające — przyznaję. Ale wie pan, ile zwyczajna szarlotka kosztuje w „Astorji“?

I ma rację zupełną. Rozmiary kosmosu, ilość gwiazd na niebie, wysokość Everestu nad po-

ziomem morza nie mogą zaimponować komuś, kto tysiącami płaci za upranie kołnierzyka, milionami za zrazy z kaszą, miliardami za żakiet i spodnie pepita.

Czasem, kiedy mnie melancholja ogarnia, siadam w fotelu, zapalam papierosa i wyobrażam sobie, że honorarjum za ten feljeton otrzymałem — dziesięć lat temu. Odbywam za to podróż dookoła świata na okręcie „Majestic“, zwiedzam Indje, Chiny, Japonję, Oceanję — po powrocie żenię się, odkupuję teatr od nieudolnych plantatorów, pcham go na nowe tory i jeszcze mam poważny kapitał w banku. A dziś — *mon Dieu...* dwa sznycle z jajkiem.

Trzeba jednak przyznać, że dla ludzi o mniej wygimnastykowanym umyśle i słabszym charakterze cyfry stały się jakąś złą zmorą, gnębą ich, nękają, sen im odbierają.

— Wybrałem się z żoną do teatru — mówił mi niedawno pewien nauczyciel kaligrafji. — Obliczyłem przy tej okazji, że gdybym tak się uparł i chciał płacić za bilety oddzielnymi markami, to — w najlepszym razie, rachując markę na sekundę — uiszczałbym należność bez przerwy od dziesiątej rano do dziewiątej wieczór. Dzieci poszłyby spać bez obiadu, złodzieje dobraliby

się w międzyczasie do mojej szafy, służąca poszłaby na złą drogę, ja z Agatą spóźnilibyśmy się na przedstawienie a — przy średnim powodzeniu sztuki — dopiero prawnuczka dzisiejszej kasjerki odebrałaby pieniądze od tych, których ten spektakl zainteresował.

Onego dnia, panie, przejrzałem na oczy i wyświetliłem pewną tajemniczą sprawę. Widywałem niekiedy w bankach w okratowanej, odrutowanej celi szaleńca o niezdrowej, woskowej cerze, błędnych oczach, siwych, nastroszonych włosach. Ten człowiek maczał zgrzybiałe palce w wodzie i liczył, liczył, liczył przy świetle świeczki stearynowej. Koszami od bielizny znoszą mu papiery, kolumny, piramidy egipskie takich cetelków przed nim rosną, a on nic — tylko ślini palce i liczy.

Myślałem, że ten człowiek jest krewnym dyrektora banku i dlatego trzymają go tu, w celi, nie w szpitalu. Teraz wiem! To nie był warjat, tylko kasjer, urzędnik!

Przypuszczam, że ten biedak, kiedy wreszcie latem wyjeżdża na urlop, rachuje sobie dla wprawy, ile ziarenek piasku miałaby plaża w Gdyni, gdybyśmy ją połączyli z plażą w Sopocie i pustynią Sahary.

To jest pierwsza ofiara dzisiejszych stosunków walutowych! Ale za nią pójdą inne! Jako nauczyciel kaligrafji nie miałem dotąd pojęcia, jak się nazywa właściwie cyfra większa od miliona—biljon, tryljon czy kotyljon? Teraz żądają odemnie, żebym codzień—w gospodarstwie domowem—takie sumy dodawał, mnożył, wypłacał. Gdybym ja to umiał przed wojną, toby mnie zaangażowali do „Aquarium“, jako atrakcję w programie nocnym!

Panie, przecież my powarjujemy! Pojemność mózgu jest ograniczona! Co robią statystycy — matematycy? Niech znajdą jakąś radę!

— Moglibyśmy tytułem próby zastosować w handlu logarytmy — rzekłem. — Jest to ułatwienie, wprowadzone do nauki dla innych celów przez Nepera. Pyta się pan, dajmy na to, w sklepie galanteryjnym o cenę kołnierzyka, pary pończoch i garnituru marynarkowego. Subjekt uśmiecha się uprzejmie i powiada: skarpeteczki—charakterystyka 4, mantysa 0,5 kamizelec—charakterystyka 6, mantysa 78, ubranko szewiotowe — 8,31. Zagląda pan do tablic Schölmilcha... szuka pan w logarytmach...

Nauczyciel kaligrafji w tem miejscu uciekł i zmylił pogonie.

MOTYWY

Miłość i głód — to były dawniej dwa bieguny, przez które oś bytu, że tak powiem, przechodziła. Dwie sprężyny wszystkich czynów ludzkich. Zwłaszcza miłość miała opinię ustaloną — tomy wierszy lirycznych jej poświęcano, była treścią wszystkich romansów, dramatów, „cherchez la femme” mówili kryminaliści i urzędnicy sądowi w każdej zawikłanej sprawie. Dziś ta sprężyna zardzewiała już cokolwiek. Nikt się tak łatwo z miłości nie zabija, a jako motyw zbrodni została wyparta prosto przez mieszkanie.

Tylko bardzo naiwnych i dziecinnych ludzi wzrusza dziś w kinie lord angielski, którego żona porzuciła i który przeto siada w głębokim, wygodnym fotelu przy kominku i patrzy ponuro na lufę rewolweru, wyzierającą z szuflady biurka. Nonsens. Gdzież tu jest dramat?

Dopóki lord ma mieszkanie, mowy być nie może o żadnej tragedji. Sytuacja miałaby napięcie dramatyczne dopiero wtedy, gdyby lord musiał złożyć rzeczy u znajomego na warszawskim Placu Kercelego i sypiać w wannie, w łaźni Fajansa, gdyby w olbrzymiem miljonowem mieście nie posiadał łokcia kwadratowego podłogi, na której mógłby postawić swój fotel, nie mówiąc już o biurku z rewolwerem, gdyby musiał się martwić na przystankach tramwajowych, na dworcu kolejowym, w windzie, w magistracie, w lokalu wyborczym.

Człowiek głodny idzie poprostu do znajomych z wizytą, siada na kanapie, plecie, co mu ślina na język przyniesie i czeka aż mu podadzą herbatę, keks, gruszkę i czekoladki nadziewane. Może się przyznać głośno, że jest głodny i liczyć na to, że go nakarmią. Ale niechby, zamiast mówić inteligentnie o polityce Lloyd George'a i Arnolda Szyfmana, spróbował powiedzieć pani domu: za gruszkę i praliny dziękuję. Doprawdy nie mogę — nie krępuję się, tylko mam dosyć. Zato — jeżeli mam być szczery — od roku nigdzie nie mieszkam, chciałbym raz wreszcie zasnąć spokojnie, zebrać myśli, pomarzyć. Oto są moje papiery. Czy pozwoli pani,

że się na tej kanapie zamelduję? Czy wolno mi tu będzie spędzić ze trzy miesiące, dopóki sejm czegoś nie postanowi i „rozbudowa miast” nie stanie się faktem?

Namiętni manjacy z epoki minionej, krytycy teatralni, szukają w każdej sztuce przedewszystkiem elementu erotycznego. Co do mnie — nie uznaję dramatu bez elementu mieszkaniowego. Niedawno zahaczył mnie na rogu Wareckiej jeden z przyjaciół:

— Hallo! gonię za tobą od godziny! Mam dla ciebie łokój! Centrum miasta, ogrzewanie centralne, oświetlenie elektryczne. Słuchaj uważnie: „Nina” Kampfa w teatrze ma iść bez suflera. Aktorzy umieją role na pamięć i budka przez sześć tygodni będzie wolna. Idź do dyrekcji i poproś, żeby ci ją wynajęli.

— Nie pójdę. Nie warto. Budka nie będzie wolna przez sześć tygodni. Nie wierzę w sukces tego dramatu. Znów jakaś afera miłosna i znów jakiś starszy pan wskutek niepowodzeń erotycznych — skacze głową na dół ze schodów czy też rzuca się w otwór liftu. Cóż z tego, że stary slachetny mąż usuwa się dobrowolnie, kiedy z treści sztuki nie widać, komu zapisał lokal i gdzie młoda żona z kochankiem mają miesz-

kac? Literatura przedwojenna jest dziwnie papierowa, nieszczerza, oderwana od życia i nikogo dziś już interesować nie może—zwłaszcza przez sześć tygodni. Rzecz napewno zrobi klapę i po czterech wieczorach sufler znów mi się wkwatruje do mojej budki.

— Ależ mój drogi, nie można tak ryczałem wszystkiego potępiać! Przecież Szekspir...

— Szekspira, chociaż jest grubo przedwojenny, można będzie jeszcze ocalić. Należy go tylko trochę zreformować i przystosować do naszych czasów. Pracuję właśnie nad „Otellem” i zarys intrygi już mam. Murzyn Otello wyjeżdża na wyprawę przeciwko Turkom. Desdemona zostaje sama na gospodarstwie i urząd mieszkaniowy rekwiruje jej jeden pokój dla oficera, Kasja. Jago na wojnie zwraca uwagę swemu szefowi, murzynowi, że między właścicielką prawną mieszkania i jej sublokatozem, Kasjem, zadzierzgnął się pewien supełek niedozwolony. Otello, pobiwszy Turczyzna, wraca, dostaje order, tytuł, demobilizuje się i chce usunąć sublokatora. Ale Kasjo zmienia zamek przy drzwiach, zawładnął wodociągiem, dał łapówkę administratorowi domu, ma w ręku telefon i klucz od windy. Każe murzynowi, który ma astmę,

wędrować na piąte piętro piechotą, przywłaszczył sobie gazomierz i licznik elektryczny.

Otello postanawia mu dobrowolnie oddać Desdemonę (bo, rzeczywiście, poco murzynowi Desdemona?), ale przewrotny Kasjo uwiódł tymczasem służącą Emilję i ma z nią dziecko. Desdemona wyrzeka się Kasja, zato uwiedziona Emilja sprowadza rodziców swoich ze wsi, którzy, dysząc zemstą, wraz z bratem przyrodnim zajmują kuchnię i łazienkę. Na domiar złego nawet para kanarków ma młode i czyni rwetes szalony, skarżąc się na brak miejsca w klatce. Zdemobilizowany Otello wypożycza na wesele karabin maszynowy, zabija siebie, Kasja, Emilję, parę kanarków, dwoje ludzi ze wsi i rządcę domu.

To jest dopiero efektowne zakończenie piątego aktu.

ROZMÓWKI WARSZAWSKIE

— Co to, proszę pana? Nalepiają coś! Ogłoszenie — nie! — Obwieszczenie...

Rozkoszne stworzonko, które prowadzę właśnie ostrożnie przez piargi Nowego Świata ku graniom Krakowskiego Przedmieścia, wrywa mi się raptem i znika w tłumie. Po chwili widzę już tylko jedno lśniąco nastroszone piórko jej kapelusza. Czasami między czapką posłańca i maciejówką jakiegoś izraelity mignie mi jej profil... Czyta...

Czyta, bo to nic nie kosztuje. Kobiety, jak wiadomo, są bajecznie oszczędne. To oszczędność zmusza je do rozrzutności. Jeżeli gdzie zobaczą wyjątkowo tani samochód, albo papugę, której się ktoś z powodów od niego niezależnych wyzbywa, albo jedwabne pończochy, albo

fortepian, albo ananas, albo kanarka, albo markizetę, albo szewiot, albo kolej podjazdową — kupują to natychmiast, bo — ostatecznie — taka rzecz może się w gospodarstwie domowym przydać, a nabyć ją można okazyjnie i za pół darmo.

Z tych samych względów — oszczędnościowych — czyta teraz Lili odezwę do inteligencji, „obwieszczenie“ o wyborach do Sejmu, czy nakaz o szczepieniu ospy.

— Pan! przecież to napewno będzie jutro w gazetach! Poco my tu stoimy?

— Bo gazeta kosztuje już dwieście tysięcy marek! A tu możemy sobie wszystko przeczytać „okazyjnie“, za darmo. Widzi pan, jaki pan jest niepraktyczny...

— Szanowna pani się myli. Jestem praktyczniejszy od niej. Od dwóch lat grosza na gazety nie wydałem. Nie czytuję ich wcale. Więcej pani powiem: zrobiłem sobie z tego zawód, proceder, fach, powołanie. Odtąd jestem osobą najbardziej pożądaną w towarzystwie. „Panie, cóż pan powie o tym skandalu w banku?“ — pytają mnie ludzie na raucie. — Co się stało? Nic nie wiem. „Jakto? nie czytał pan?“ — Nie. Od dwóch lat nie czytuję gazet.

Efekt jest wprost piorunujący! Wszystkie roz-

mowy cichną natychmiast. Tłum mnie otacza. Ze wszystkich rogów salonu pędzą ku mnie ludzie, aby mi wyłożyć szczegółowo aferę sensacyjną. Nuda, nierozzerwalnie związana ze wszelkimi rautami i czarnymi kawami, pierzcha, na twarzach maluje się ożywienie, zabawa wre, oczy błyszczą...

Od dłuższego już czasu nie mogę się opędzić zaproszeniom na five-o-clocki, obiady, kolacje. Moja sława rośnie. Dochodzę do wniosku, że — o ile dawniej najbardziej poszukiwaną osobą na zebraniach towarzyskich był dobry „causeur“, opowiadacz plotek i anegdot, o tyle teraz — największy sukces ma poprostu człowiek, który — jak ja — wpadł na pomysł nieczytania gazet. W kółku męskim — nie wiem, jakie plany ma Lloyd-George i kto się zgrał w baka w Sopocie. W gronie pięknych dam — nie mam pojęcia, z kim żyje *la belle Wypierkowska*, co zamierza Fryszman i co napisano o premierze R. U. R—y.

Współobywatelki wyrrywają mnie też sobie poprostu z rąk: opowiadają mi feljetony Makużyńskiego, streszczają mowy parlamentarne, sztuki teatralne, ceduły giełdowe, rawjety kabaletowe. Jestem osiłą wszystkich rozmów. Nie

czytałem, że „Reduta“ przenosi się do „Colosseum“, „Nietoperz“ do „Wodewilu“, a „Oaza“ do „Bagateli“, nie wiem, kto na kim niebieskie lisy i kto na kim zwykle psy wiesza i nie znam dowcipnego sprawozdania z „Ciotki Casanovy“.

Sukces przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Oddawna już sam nie mogę podolać pracy i zamierzam rozszerzyć interes, wynająć lokal w śródmieściu, otworzyć biuro specjalne p. n. *Rautpol*.

Będę wynajmował—po cenach przystępnych—na rauty, herbatki, dancingi i przyjęcia młodych ludzi, którzy nie byli jeszcze (gwarancjal) na „Grobowcu indyjskim“ i którym można opowiedzieć bezkarnie i szczegółowo treść „Progu hańby“ i sześć części przygód Harry Peela. Będę wysyłał — za zaliczeniem pocztowem — młodzieńca, który nie słyszał o fałszywych czekach amerykańskich, o „Djable“ Molnara, „Wesołej szwaczce“ i kobiecie, która zabiła tego, co go biją po twarzy i w to, co najważniejsze. Będę posiadał na składzie i wypożyczał do domów—na godziny — osoby, niewtajemniczone w to, kto prowadzi „Komedję“, co się ma stać z soborem na Placu Saskim, gdzie się zaangażowała Nie-wiarowska i czy Ćwiklińska wraca do operetki.

Będę dostarczał na bale i wieczorki (niezamożnym rabat!) ładunki wagonowe indywiduów, nieobeznanych z przyszłym repertuarem „Reduty”, treścią nowej sztuki Kiedrzyńskiego i poglądami Messalówny na teorię Einsteina.

Może mi pani i teraz jeszcze powie, że nie jestem praktyczny?

DOCHODY BOHATERA POWIEŚCIOWEGO

— Honorarja literackie — mówił mi jeden z młodszych kolegów — zostały wreszcie, dzięki bardzo praktycznej uchwale naszego Związku zawodowego, raz na zawsze ustalone. Człowiek piszący jest teraz w ścisłym kontakcie z taksą tramwajową i gdyby tak Petrarka z grobu powstał i — czego mu nie życzę — u nas się osiedlił, miałby prawo za każdy dźwięczniejszy sonet do Laury objechać Warszawę zerem czternaście razy dookoła. Ponieważ zaś podróże kształcą — więc już na Żelaznej przypomniałby sobie błysk jej oczu, albo linję jej spadzistych ramion, ułożyłby nową boską canzonę i jeździłby spokojnie dalej przez całą noc, z Placu Teatralnego na Mokotów oraz z powrotem.

Przekonałem się, coprawda, że jeszcze nie

wszyscy funkcjonariusze miejscy słyszeli o tej reformie. Wskakuję naprzykład wczoraj nad ranem do tramwaju Nr. 10, jestem zlekka zawiany i nie mam przy duszy ani grosza. Furda — myślę sobie, siadam na ławeczce i deklamuję konduktorowi pewien nigdzie dotąd nie-drukowany czterowiersz „siedziała na lipie, wołała Filipie, — poczem żądam kategorycznie, aby mi wydano sto tysięcy marek reszty. Wedle taryfy związkowej bowiem należał się ode mnie jeden wiersz poezji, albo dwa wiersze prozy. Biletu nie dostałem, konduktor mi nawymyślał i wydalil mnie przemocą ze swego głupiego wehikułu. Bardzo być może, że mu się rytm mojej strofy nie podobał.

Pomijając te drobne nieporozumienia — literatom wiedzie się jako tako, żyją...

O ileż gorzej od spraw zarobkowych autorów wygląda budżet ich bohaterów powieściowych! Nikt się o nich nie troszczy, nikt nie myśli o reformie, a kwestja jest coraz bardziej paląca i nagła!

Wyobraźmy sobie, że piszę baśń cudowną, w której ubogiemu kopciuszkowi zjawia się na drodze cierniowej żywota księżę, tak zwany nebab, osobistość szalenie przystojna i nada-

wszystko niezmiernie bogata. Ile taki człowiek ma właściwie zarabiać, jaki mu ja — jego autor —mam ofiarować majątek, żeby mi już podczas drukowania książki nie zubożał, a w rok po jej wyjściu nie zeszedł na psy — co mówię! — nie wyglądał na podejrzanego łowcę posagowego, który zaślubia biednego kopciuszka tylko po to, aby żyć z pracy jego (t. j. kopciuszka) rąk?

Nie wiem, czy mówię dość obrazowo i dlatego przytoczę tu przykład z własnej praktyki. Wzięłem się niedawno do roboty i piszę komedję obyczajową. W połowie pierwszego aktu utknąłem, stoję, natrafiam na nieprzewyciężone trudności natury pieniężnej. I — o dziwo — zawadą jest mi, po raz pierwszy w życiu, nie oplakany stan własnej kasy, ale pogmatwane stosunki finansowe moich bohaterów.

Ile właściwie ma zarabiać mąż, o którym mówię, że jest to typ dodatni i szlachetny, ale skromnie uposażony? ile ma wydawać na fatalaszki jego piękna, choć marnotrawna żona? ile ma — dziennie — wyrzucać przez okno niedoszły amant, hrabia Wądołek, człowiek bajecznie bogaty i żyjący nad stan? Jakimi cyframi oznaczyć to wszystko?

Bo nie przypuszczam, żeby kogo mógł wzruszyć do łez fragment następujący: „Hrabia Emil rzucił się w wir zabaw. Hojność jego weszła poprostu w przysłowie. Mówiono sobie na mieście, że szoferowi ciska nieraz wielkopańskim gestem po trzy większe abonamenty tramwajowe, że pewnej kwiaciarce ulicznej za bukietik fiołków dał miesięczny bilet kolejowy Warszawa — Tłuszcz. Kiedy się ukazywał w wykwintnym *hallu* hotelowym — młody, smukły, smagły, piękny, zamożny — kelnerzy tworzyli szpaler, witając go ukłonem i uśmiechem. On zaś szedł i rozrzucał między nich, nie mrugnawszy nawet powieką, napiwki, od których w głowie się przewraca. Temu bilet powrotny do Zbąszynia, owemu abonament do golarza, tamtemu plackartę Wołomin — Lwów i cztery peronówki. Grywał niekiedy w karty i nieraz widywano, jak ruchem niedbałym kładł na zielone sukno po czterdzieści tysięcy przejazdów tramwajowych w jednym kawałku! Szalał... Wzruszona pani Dziunia czuła, że słabnie i że mu się nie oprze. Nie dziwmy się tej kobiecie. W domu prawie nędza, mąż pracuje od świtu do nocy, aby zdobyć te, niezbędne do życia, trzydzieści kursów nocnych dorożki paro-

konnej. Jaś przetań spodnie na siedzeniu i krawiec zgłasza się codzień z rachunkiem, żądając hałaśliwie biletu sezonowego na kolejki podjazdowe, dług u Zmigrydera przekroczył oddawna cztery sleepingi do Borysławia, kucharce należy się za dwa kwartały trzykrotna taksa samochodu ciężarowego. Skąd brać na to wszystko? Jedyne sperando zawiodła. Wuj Amilkar umarł wprawdzie, ale cały majątek (dwa miliony pensyj stróża nocnego i 25 szyfkart pierwszej klasy) zapisał na cele filantropijne...

Mojem zdaniem — jeżeli literatura piękna ma wogóle istnieć dłużej — jakiś walny kongres literacki, pod protektoratem Maryny Mniszek, powinien ustalić raz wreszcie dochody typów powieściowych.

Inaczej grozi nam poprostu ruina. Książka — dziś jeszcze sensacyjna — już nazajutrz jest naiwna, śmieszna, niemożliwa.

Kilka dni temu wybrałem się do teatru na ostatnie przedstawienie pewnego melodramatu krajowego. Jakaś wielka afera bankowa, jakaś Panama, w którą autor zaplatał finansjerę, arystokrację rodową, prasę. W scenie kulminacyjnej grono podejrzanych kanaliż zarzuca pewnemu wyjątkowo szlachetnemu młodzieńcowi niesłusz-

nie, że ich podszedł i że zdefraudował — tak jest zdefraudował! — pięć milionów marek. Oburzenie, repliki, gesty, patos. Tylko w krzesłach — tu i owdzie — ktoś się uśmiecha ironicznie pod przyszytym wąsem. Istotnie bowiem — szlachetny młodzian, zamiast gniewem parskać, powinien był powiedzieć poprostu:

— Pięć milionów? Pieniądzy tych — jako żywo — nie brałem. Ale nie będziemy się spierali o kwotę tak drobną. Służę — oto jest jedwabna chustka do nosa, rękawiczki skórkowe, szalik. Nadeślę panom jeszcze flanelowy garnitur marynarkowy, pokrywam *manco* tysiąckrotnie i proszę o wydanie reszty...

Po przedstawieniu lecę do autora krajowego i pytam go gromkim głosem, dlaczego, u licha, zepsuł „samochcac” efekt i nie powiększył do rozmiarów bardziej imponujących swego nadużycia bankowego.

— Panie! — powiada mi ów nieszczęśnik — nie dotykaj pan tej kwestji, bo oszaleję! Kiedyś sztukę pisał — 50 tysięcy było już sumą wielką i taką też umieściłem w oryginale. Na próbie czytanej podnieśliśmy tę pozycję do pięciu kroć, na premierze do pięciu milionów, teraz, na czternastem przedstawieniu znów pan

żąda podwyżki? Nie będę dla pańskiej satysfakcji poprawiał manuskryptu codzień, podług ostatniej ceduły giełdowej!

Jedyna pociecha, że nasze dramaty nie są tak trwałe, jak np. dramaty Szekspira. Za lat trzysta bohater musiałby prawdopodobnie zdefraudować taką sumę, że samo jej przytoczenie wypełniłoby doszczętnie wieczór teatralny i publiczność musiałaby iść do domu, nie dowiedziawszy się, o co właściwie chodzi...

FORMULARZ PODATKOWY

— Przeżyłem tydzień straszny — mówił mi niedawno znajomy mój, jeden z wybitniejszych poetów lirycznych. — Otrzymuję ni stąd ni zowąd list urzędowy z zagadkowym napisem P o n a g l e n i e. Czytam — co się okazuje? Pan naczelnik wydziału skarbowego, zamieszkały przy ulicy Nowogrodzkiej 60b, zawiadamia mnie, że mu życie upływa w pokoju № 18. Powołuje się przytem na jakiś artykuł w mało poczytnem piśmie, p. t. Dziennik U. R. P. (№ 82, pozycja 550) i żąda odemnie, abym wyznał natychmiast, ile zarobiłem w roku 1922. Jeżeli nie uczynię zadość jego żądaniu — powiada — to postara się podkopać mój byt materialny i zrujnuje mnie moralnie.

Ponieważ jestem lojalnym obywatelem pań-

stwa i ponieważ nie chciałbym narażać sobie człowieka tak ustosunkowanego, jak pan naczelnik wydziału opłat skarbowych — siadam tedy niezwłocznie przy biurku, opieram głowę na dłoni i usiłuję odtworzyć w pamięci rok 1922.

Jak zwykle w tych wypadkach, wyobrażenia ludzka okiełznać się nie daje: widzę wyraźnie dzieciństwo, wiek męski, wiek klęski, przypominam sobie dokładnie wojnę rosyjsko-japońską, zabójstwo prezydenta Carnota, odkrycie Ameryki, przejście Żydów przez Morze Czerwone... Ze wszystkich dat historycznych jeden jedyny rok podatkowy 1922 wymyka mi się ustawicznie i buja przedemną w przestrzeni, jak natrętny komar.

Po trzech dniach wytężonej pracy mózgowej, błady, niewyspany pędzę na Nowogrodzką, gdzie w parterowym domku wśród pól szarych i ugorów, wśród drzewek małych i ptaszków świergocących uwił sobie gniazdko urząd podatkowy.

Przyznam się panu, że oczekiwałem rzeczy najgorszych i nawet przed wyjściem z domu napisałem oktawą i aleksandrynami wiersz p. t. „Mój testament“.

Obawy były płonne. W pokoju № 18 ujrzałem młodzieńca o wyrazie twarzy bardzo melancholijnym. Młodzian ów mówił ze mną dobrotnie i nawet pomagał mi w rachunkach.

Obliczyliśmy razem, ile mógł dać dochodu „Maj ostatni“, co było warte „Na nic nikomu“, jak należy cenić „Może ciebie kwiaty smuć“ jaką ma wartość istotną „Nie mam już w sobie żadnych snów“. Rozmowa płynęła wartko i przyjemnie, zwłaszcza, że urozmaicał ją pytaniami pewien starszy izraelita z liszajem na głowie, detaliczny handlarz jaj z zawodu, który przy sąsiednim konfesjonale składał zeznania na zielonym formularzu.

W rezultacie skonstatowaliśmy, że społeczeństwo mnie za pracę literacką i ubogiego, nieszczęśliwego detalistę za gorliwe zajęcie się jajami wynagradza zupełnie jednakowo i że obaj winni jesteśmy Rzeczypospolitej po mk. trzydzieści tysięcy, które możemy spłacić ratami.

Opuściłem zaciszne ustronie lekkie, jak piórko, i podążyłem na czarną kawę. Ale tu się właśnie zaczyna tragedji część wtóra.

Nie wiem, czy to dłuższe obcowanie ze skarbem państwowym, czy rozmyślanie nad własnymi sprawami majątkowymi, czy poprostu

nadmierna ilość czarnej kawy tak mnie usposobiły — dość, że w ostatnich czasach fantazja podsuwa mi jakieś dziwne, niesamowite obrazy...

Śni mi się naprzykład pewnej nocy, że mam dziecko. Nigdy nie byłem żonaty, wiem o tem zupełnie dokładnie, a jednak — leży obok mnie w kołysce mój potomek i krzyczy, jakby właśnie łeb urwał hydrze. — Z czego ja to piskłę będę utrzymywał? — myślę sobie i próbuję zasnąć — na próżno! Harmider jest coraz większy. Biorę tedy flaszkę mleka ze stołu, numer „Gazety Porannej“, kilka powieści i zanoszę to pędrakowi, żeby mu się nie nudziło. Tu nowy cud! Chłopczyzna odsuwa mleko, chwyta natomiast drukowaną bibułę i — patrzcie państwo — po kilku minutach już umie czytać! Nietylko czyta, ale nawet odróżnia doskonale humor świadomy Magdaleny Samozwaniec od humoru mimowolnego p. Kpinkowskiego.

— Zdolny bąk — myślę. I to mówiąc niosę go w powijkach do bibljoteki, kładę na półce i powiadam do mojej latorośli słowy historycznemi:

— *Disce puer, faciam te „mości panie“!*

Nie wiem, czym zdążył nawet okiem mrugnąć — aż tu wychodzi z szafy młodzian wiotki, smukły, inteligentny i rzecze:

— Papo. Otom jest syn twój. Kształciłem się, jako mi nakazałeś. Posiadłem w tej szafie algebrę wyższą, filozofję grecką, znam teorię prozodji, geometrję wykreślną, mimoplastykę, psychoanalizę, historję powszechną, buchalterję podwójną, gimnastykę szwedzką — systemem Müllera—i teozofję. Umieję wszystkie twoje księgi na pamięć. Powiedz, co mam robić, aby mi się dobrze działo na ziemi?...

Duma mi pierś rozpiera, żem się takiego syna dochował. Biorę go za rękę i prowadzę na posadę państwową. Chłopak w ciągu minuty robi więcej, niż stu urzędników i dziewięć koni parowych, awansuje, zbiera pochwały, tytuły. Już po roku staje na szczęblu najwyższym, wobec czego jego formularz dochodowy jest akurat taki sam, jak formularz starego Żyda z liszajem na głowie.

To mnie zaczyna złościć. Odbieram syna z biura i pcham go na drogę naukową. Dzięki zdolnościom wprost fenomenalnym syn mój otrzymuje momentalnie profesurę zwyczajną, jest u szczytu sławy, wyklada jednocześnie logistykę, biochemję, sławistykę i rachunek różniczkowy. Na Nowogrodzkiej stwierdzają przy tej okazji, że jego zdolność płatnicza jest, nie-

stety, o połowę mniejsza od zdolności detalicznego handlarza jaj.

Postanawiam pobić rekord za wszelką cenę. Wycofuję mego spadkobiercę z uniwersytetu i robię z niego inżyniera. Z urzędu skarbowego telefonują, że teraz jest wart cztery razy mniej od specjalisty jajowego!

Syn mój zostaje popularnym autorem dramatycznym — jajczarz bije go o cztery długości...

Syn poświęca się pedagogji i zostaje nauczycielem! Do handlarza z liszajem mówią „mości panie”, do mego potomka „te, inteligent”. Objeżdżam w zawrotnej, karkołomnej podróży wszystkie zawody, wszystkie dziedziny — napróżno. Wreszcie—eureka! — przypominam sobie system Müllera i zapisuję genialnego syna do baletu.

Nareszciel Po roku ma stanowisko, własną szkołę tańca, wynalazł nową figurę w bostonie, zarabia krocie i utrzymuje swego nieszczęśliwego starego, niedołężnego, wyłysiałego ojca — to jest mnie — karmi go ostrygami, kawiozem i szampanem...

Niestety, w tem miejscu, z nadmiaru radości wzdycham — i budzę się.

ROZWAŻANIA ZASADNICZE

W najściślejszej bodaj z nauk ścisłych — w astronomji — niewzruszona „prawda” żyje najdłużej, bo lat kilkadziesiąt, a nawet kilkaset. Po upływie tego czasu dopiero staje się wiernym fałszem. Ziemia jest środkiem świata tak długo, dopóki Kopernik z Galileuszem nie poruszą jej nieco z miejsca i nie stwierdzą, że się obraca naokoło słońca. Kopernik zaś ma słuszość absolutną aż do chwili, kiedy Einstein zwróci uwagę na to, że właściwie żadne doświadczenie ustalić nie może, co się naokoło czego kręci—i że system heljocentryczny albo geocentryczny to, krótko mówiąc, sprawa zapatrywania i rzecz gustu.

Jeżeli taki niepewny, suchotniczy, cherlawy żywot przypadł w udziale poważnym, solidnym

podtatusiałym prawdom naukowym, trudno się dziwić, że lekkomyślne, swawolne, niefrasobliwe, oparte nie na setkach wyliczeń i obserwacji, nie na równaniach różniczkowych, ale często — kroć na kilku butelkach likieru i absyntu, „prawdy” artystyczne, dogmaty estetyczne i niewzruszone teorie krytyczne trwają znacznie krócej, niż mszyca jednodniowa.

W teorii sztuki — powiedzmy szczerze — nie stwierdzono dotąd nic i gdyby wszystkie rozważania krytyczne — od Arystotelesa począwszy, a na tym artykule skończywszy — raptem, wskutek jakiegoś specjalnego kataklizmu, zniknęły z powierzchni ziemi, nie straciłoby zbyt wiele i moglibyśmy łatwo tę stratę przeboleć. Literatura szekspirowska obejmuje dziś taką ilość tomów, że możnaby niemi miasto wybrukować — ale kto chce poznać Szekspira, sięga poprostu po „Hamleta” i nie urządza uciążliwych wypraw w papierowe Himalaje.

Dalej: teoria sztuki to dziwna bardzo dziedzina wiedzy, bo mogą w niej istnieć jednocześnie dwa twierdzenia, biegunowo przeciwne, wykluczające się nawzajem i przytem zupełnie jednakowo słuszne.

Chciałbym tu podać przykład. Chodzi o spra-

wę „tematu” w dziele artystycznym. Nie jest to, cprawda, kwestja, która mogłaby w tych ciężkich czasach poruszyć serca i umysły, ale ponieważ skromny mój feljetonik w jednym z pism krakowskich wywołał aż jakąś mistrzowską odprawę — jak stwierdza „Przegląd Warszawski” — i aż cały referat w poważnym miesięczniku, poświęćmy temu zagadnieniu raz jeszcze chwilę uwagi. W braku lepszego tematu — pomówmy poprostu o temacie.

Stanisław Witkiewicz (ojciec), świetny stylista i bodaj jedyny u nas w ostatnich czasach krytyk, zużył sporo czasu i energji na to, aby dowieść, że temat w dziele artystycznym jest niczem. Wojciech Gerson kropi bitwę na Pziem polu, kilku naraz wojewodów i kilku prasłowian i tworzy kicz, Gierymski maluje ulicę w Monachjum, widok z okna, i tworzy arcydzieło. Zgniły melon może przejść do potomości jako wyraz dążeń pewnej epoki, a wielki pochód na Wawel może być dowodem ubóstwa duchowego i zdziczenia estetycznego.

W chwili, kiedy Witkiewicz te rzeczy pisał, miał rację zupełną i stało się świetnie, że pogląd swój głośno i dobitnie wypowiedział. Ale czy twierdzenie jego jest zawsze i po wsze

czasy słuszne? czy jest dogmatem estetycznym?

Znam w Krakowie młodego zdolnego malarza, a zarazem teoretyka sztuki. Uwierzył lat temu pięć w to zdanie, które niegdyś było prawdą, a dziś jest komunalem, powtarzanym aż do znudzenia przez wszystkich naszych recenzentów. Od pięciu lat młodzieniec ów maluje wyłącznie i jedynie: *Dziewczę z jabłkiem*. Kiedym go odwiedził w pracowni, poprawiał coś właśnie przy dziewiętnastem z kolei dziewczęciu z jabłkiem (roczna jego produkcja wynosi—jak mi mówił—dwadzieścia pięć takich dziewcząt).

— Dlaczego pan pisze różne sztuki teatralne? — pytał mnie, nie odrywając się zresztą od pracy.—Powinien pan pisać wciąż jedną i tę samą komedję. Temat to przecie rzecz obojętna! Nie chodzi zupełnie o to, co się mówi, tylko jak się mówi.

— Nie, szanowny panie. Myli się pan. Trudniej to może dostrzec w pańskiej dziedzinie, w plastyce (choćby powarjowalibyśmy, gdyby przejąwszy się pańską teorią, wszyscy malarze świata jęli malować wyłącznie dziewczęta z jabł-

kami)—ale zato bardzo łatwo wykaże panu błąd logiczny historia literatury.

Gdyby temat był niczem, nie wędrowałby w średniowieczu przez dalekie lądy i morza, z krajów skandynawskich do krajów romańskich, nie zapalałby tu trubadurów, ówdzie minnesängerów. Gdyby był niczem — stary, wielki Szekspir nie wertowałby nocami naiwnych nowel włoskich w pogoni za interesującą fabułą.

Któż z nas dziś—w tej chwili—pamięta choć jeden frazes z uroczej powieści o rycerzu z La Manchy? Ale najtrzeźwiejszy dyrektor banku, człowiek, który nigdy Don Kiszota nie czytał i czytać nie będzie, mówi o donkiszoterji i o walce z wiatrakami, tak jak mówi o dani-nie majątkowej. Genjalny p o m y s ł tego romansu żyje w nas, w samej fabule kryje się jakiś głęboki sens, jedna z tych prawd życiowych, którą czasami zawierają przypowieści i przysłowia.

I właśnie, jeżeli chodzi specjalnie o literaturę dramatyczną, to—bez względu na to, co panowie recenzenci piszą—przyczyną starczego uwiądu teatru współczesnego jest kilka potwornych zabobonów estetycznych, dotyczących

„tematu”. Dzięki pewnym przesądom i nałogom starokawalerskim, jakie wśród gazeciarzy, dyrektorów, reżyserów panują, skrzepowano fantazję twórczą, wymieciono wszelkie ciekawsze pomysły ze sceny. Dyrektor teatralny — ze względów kasowych i spekulacyjnych — nie uznaje innego tematu, niż miłość, aktorzy podzielili się już dawno na młodych amantów, starszych amantów, lirycznych amantów, charakterystycznych amantów i grają właściwie od trzydziestu lat tę samą sztukę pod różnemi tytułami. Recenzent teatralny szuka z uporem manjaka elementu erotycznego w komedji i utworze, w którym pani X. nie zdradza pana Y. z panem Z., nie ma żadnych szans przedarcia się przez gęste sieci i niewody rzeczoznawców. Speculanci, w obawie, że jakieś żywsze słowo mogłoby urazić czyjeś nerwy i wywołać odruch na galerji albo w krzesłach, wmówili poprostu w ludzi, że w sztuce każdy temat jest dobry, a zatem pisarz dramatyczny musi się zająć wyłącznie kwestją zdrady małżeńskiej, grzesznej miłości syna do matki, tajemniczego pociągu stryjecznej ciotki do przyrodniego bratanka. Powinien malować po raz tysięczny—

nie dziewczę z jabłkiem—ale kobietkę z kochankiem.

Stało się to — rzecz dziwna — w tej samej chwili, kiedy poeci liryczni piszą poematy nawet o giełdzie i buljonie Maggi, a powieść szybuje, jak nigdy dotąd, ulatuje w kraje egzotyczne, na inne planety—przebiega wszechświat w „maszynach czasu”, przerywa ziemię tunełami, opowiada legendy o bogach i pingwinach.

Dla mnie—upadek literatury dramatycznej—w zestawieniu z rozkwitem romansu i liryki—dowodzi, o ile w tych sprawach czegoś dowieść można, że słynny dogmat się przeżył. Wiele zależy od tego, jak się mówi, ale chodzi też trochę o to, co się mówi.

Nie można zebrany tłumom wciąż tych samych głupstw ze sceny gromko wykrzykiwać.

TEATR I KINO

Panowie, którzy o teatrze piszą, otrzymują przeważnie skromne, ale stałe gaże miesięczne za to właśnie, że o teatrze piszą. Możemy też od nich żądać śmiało błyskotliwych uwag o technice dramatu, o architektonice sztuki, o nerwie scenicznym, o akcji, o pierwiastku erotycznym, o różnicy między komedią i farsą, o ekspresji, o logice sytuacji — i jak się tam jeszcze owe wytarte komunały nazywają.

Ale bylibyśmy doprawdy naiwni, gdybyśmy zażądali od nich ni stąd ni zowąd, zamiast piętnastu długich feljetonów w piętnastu pismach stołecznych, krótkiego, jędrnego oświadczenia: Teatr się przeżył. Nikogo dziś nie obchodzi. My, recenzenci, a zwłaszcza zaś nasze wieloszpałtowe sprawozdania, jesteśmy zjawis-

kiem szczątkowym, śmieszną pozostałością dawnej, przebrzmiałej epoki tak, jak — dajmy na to — ślepa kiszka.

Największy sukces teatralny gromadzi — nawet w tych ciężkich czasach, w okresie głodu mieszkaniowego — kilkadziesiąt czy kilkaset osób w olbrzymiej ogrzanej sali. Jednocześnie zaś konna policja rozpędza na ulicach tłumy, które się cisną na „doktora Mabuze“ do kinematografu. O kinie nie pisze nikt. Nie mamy dotąd ani jednej źródłowej analizy „Grobowca indyjskiego“, nikt nie wydał trzech tomów flirtu z Erną Moreną, a jednak — dwieście tysięcy widzów przewala się co wieczór przez kina warszawskie wtedy, kiedy wszyscy zwolennicy „Eumenesa“ razem z wielbicielami „Dyndały“ i Szyfmana nie mogliby częstokroć zagrać w bridge’a dla braku „czwartego“.

Człowiek, stojący na uboczu i nie wpłątany w kołowrót obłędny intryg teatralnych, widzi, że coś się w teatrze zepsuło na dłużej, że przyszła poprostu kréska i na tego Matyska, że jest świadkiem pewnego, w dziejach dość pospolitego zjawiska: jakaś gałąź sztuki więdnie i usycha. Nic w tem niema strasznego, świat się nie zawali, ziemia ze swej orbity nie wy-

padnie. Jeden — nudny — gatunek wspólnej zabawy zastąpiono innym, weselszym.

„Na najpiękniejszy obraz w galerji londyńskiej — mówi p. George Moore — mogę patrzeć maximum przez pięć minut. W teatrze zmuszają mnie, abym oglądał kiepsko malowany rododendron przez dwie i pół godziny“. Być może, że to właśnie jest głównym powodem upadku sztuki scenicznej. Chociaż właściwie takich przyczyn możnaby wyliczyć znacznie więcej.

Teatr odziedziczyliśmy po epoce arystokratycznej, dworskiej. Dworaków elżbietańskich, królów francuskich, a choćby tylko panów na Meiningen i carów rosyjskich stać było na utrzymywanie ku rozrywce własnej, całego tabunu mimów, aktorów, igrców i hecarzy. Dziś — w zrujnowanej Europie — dla szczupłej gromadki wypadkowo w pewnem mieście zebranych manjaków teatralnych, którym książka nie wystarcza i którzy „Hamleta“ chcą koniecznie zobaczyć a „Ciotkę Karola“ usłyszeć, trzusi się olbrzymi zastęp mechaników, reżyserów, dekoratorów i uszminekowanych osób płci rozmaitej. Tkwi w tem doprawdy jakiś głęboki nonsens ekonomiczny. Pomyślmy: „każdy obraz, który dziś namalowałem, za tydzień mogę pokazać w Pa-

ryżu, Wiedniu, Łodzi, Nowym Yorku, każda książka, którą dziś napisałem, za dwa tygodnie może dotrzeć do Brazylii, Londynu, Chicago, Zgierza, Timbaktu, Pabjanic, każdy muzyk, każdy śpiewak operowy, opracowawszy dziś „Lohengrina“ czy koncert Czajkowskiego, może się nim popisywać przez całe życie w Frisco, Brooklynie, Argentynie, Lwowie, Bukareszcie, Pradze czeskiej.

Ze wszystkich gatunków sztuki tylko dramat i teatr istnieją wyłącznie dla kilku tysięcy osób, które akurat w Warszawie, w listopadzie, mają czas wieczorem i dziwnym zbiegiem okoliczności nie cierpią na katar i migrenę. Sztuka teatralna trwa przez miesiąc, chociaż „Reduta“ pracowała nad nią całą siłą pary przez pół roku — trwa dla ludzi, wypadkowo zablakanych między roгатki warszawskie, podczas kiedy każdy lepszy film obiega kulę ziemską od Sydneyu do Hammerfestu i od Irkucka do Parany.

Dlatego też nuda osamotnienia i pajęczyna miejsc rzadko odwiedzanych zasnuwa gmachy teatralne. Człowiek współczesny nie może już patrzeć na malowany gwaszem rododendron, ani na to, jak pocziwy pan Kabotyński, którego znamy od Lourse'a, nalepiwszy nos i perukę,

uwodzi piskliwą panią Klepacką, którą znamy z „Kresów“.

Zwłaszcza, że tuż obok w „kinie“ zobaczyć może za tańsze pieniądze samurajów japońskich, kulisów chińskich, magnatów nowojorskich, fakirów, maharadzów, splątanych w jakiejś karkołomnej żywiołowej akcji, pędzącej lotem huraganu przez śniegi, góry, oceany, pustynie, zobaczy pałace dożów, wodospady Niagary, wigwamy ludożerców, salony lordów angielskich, zobaczy twarze dziwne, z pośród tysięcy wybrane, ujrzy zdarzenia i obyczaje niesamowite, tłumy hurys, wielbłądów, gąszcze róż dzikich, kajuty okrętowe, wnętrza świątyń i doków, ogrody wiszące i izby samojedów.

Przemysł filmowy zajmuje trzecie miejsce (tuż po węglu i żelazie) w produkcji najdzielniejszego i największego kraju na tym globie, Stanów Zjednoczonych...

Współczesność znalazła wreszcie własną sztukę — i nic to, że ongi istniał Eurypides. Gdyby dziś żył — jego Elektra razem z Ifigenią byłyby poprostu scenariuszem do kina.

YANKEE DOODLE

Za czasów Marka Twaina towarzystwa okrętowe eksportowały całe tonny kraciastych jan-kesów z portów amerykańskich do portów sta-rego świata. Podróż do Europy—*a tramp abroad*— była dla prawowiernego Amerykanina rodza-jem pielgrzymki do Ziemi Świętej. Więcej nawet— była koniecznem uzupełnieniem wykształcenia średniego i młody Mr. Smith albo Jones, który nie znał Baedekera włoskiego na pamięć, umierał bezpotomnie w celibacie, żadna bowiem jasnowłosa miss Maud nie odważyłaby się za-ślubić człowieka z tak poważnym defektem mo-ralnym.

Sam wielki Mark spędzał lata długie w Wie-dniu, zmierzył własnymi krokami wysokość gór

Harcu nad poziomem morza, znał Europę od Paryża do Brindisi, jak zły szeląg.

Za głośnym pisarzem całe tłumy jego rodaków wałęsały się po miastach i drogach, po muzeach i teatrach, koncertach i salach wykładowych Anglii i kontynentu. Widywaliśmy ich w Oberammergau, w Bayreuth, w pinakotece monachijskiej, w Moulin-Rouge, w Rijksmuzeum przed Rembrandtem.

Pamiętam — działo się to jeszcze przed wojną — pracowałem w laboratorium fizyki doświadczalnej w Holandji. Któregoś dnia wpada do cichej pracowni, jak powiew huraganu, profesor Wood z Baltimore U. S. A. i oznajmia, że jest, że przyjechał, że ma zamiar przestudjować tu pewne zagadnienia z zakresu optyki. Poświęca na to sześć tygodni czasu — następnie jedzie na czas dłuższy do Londynu i Berlina, bo tak sobie marszrutę ułożył.

Przyjeliśmy, oczywiście, znakomitego fizyka z otwartymi ramionami, a kiedy już pierwsze lody pękły, zadałem mu nieśmiałe pytanie:

— Co robią pańscy studenci, profesorze, w czasie, gdy pan zwiedza pracownie europejskie? Przecież semestr akademicki trwa i nawet jest teraz właśnie w okresie kulminacyjnym?

— Mam zastępcę. W naszych kontraktach uniwersyteckich istnieje paragraf, który głosi, że po latach trzech każdy profesor wybitniejszy ma jeden rok wolny. Jest to tak zwany „rok europejski” — wyjeżdżam, pracuję dla siebie, zwiedzam uczelnie starego świata...

Tak było niegdyś, dawno — w zamierzchłych, minionych czasach przedwojennych. Czem Mekka dla mahometanina, czym Benares dla Hindusa — tem była stara pocziwa Europa dla ludzi z tamtej strony wielkiej wody.

Dziś—my tańczymy shimmy i amerykańskiego rag-time’a przy dźwiękach murzyńskich jazz-bandów. W domu czeka na nas tomik cudnych nowelek Jack’a Londona w przekładzie p. Kuszelewskiej. I czytamy dziwne opowieści o Salt Lake City i Sacramento, myślimy o lodach Alaski, owiani wonnym dymem papierosa — Lucky Strike (American Tobacco Co).

Od szpica płaskich lakierowanych pantofli aż do kroju spodni, od napojów zwanych cocktailami aż do doświadczeń Michelsona, na których się opiera teoria względności, od sensacyjnych „mankietów” prasy brukowej aż do filozofii Jamesa — wszystko pochodzi z Ameryki, naśladuje Amerykę, podrabia Amerykę. Ame-

rica for ever! Okradamy jankesów z pomysłów reklamowych, piosenek estradowych, rytmów muzycznych, sketchów, interviewów, „plebiscytów na sławnych ludzi“. Najpopularniejszą od lat postacią w Paryżu jest nie p. Poincaré, ale rozkoszny Charlot — genialny Charlie Chaplin z Los Angeles w Kalifornji, najbardziej fenomenalnym, najciekawszym talentem aktorskim świata jest dziś — o dziwo — nie druga Sarah Bernhardt, ale jedyna Mary Pickford.

Skołatana, obolała, zbiedzona Europa poddała się już dawno i ze wszystkich baszt powiewa białymi chorągwiemi. Co nie ma w sobie rytmu amerykańskiego — od księgarza do wydawcy pisma humorystycznego — ginie bez śladu, jak kwiatuszek w dzień mroźny. Lada dzień zjawi się na warszawskim bruku prawdziwy dyrektor teatru, jakiś manager nowojorski i zgasi domorosłych impresarijów — jak wiatr gasi świeczkę łożową. Wystawi poprostu, zamiast pięciu głupkowatych komedijek bulwarowych, jeden mocny dramat O'Neill'a i grać go będzie przez dwa i pół roku z rzędu w wyprzedanej sali.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ów do niedawna śmiesznie barbarzyński Nowy York stał się jednym z najciekawszych środowisk artystycznych.

Wchłonał wszystko, czem się stary kontynent niegdyś chlubił. Ma balet rosyjski z Fokinem, ma reżyserów od Stanisławskiego, ma sławetny kabaret Balijewa, ma Baksta, Sudejkina, najlepszą operę, najlepszych muzyków i dyrygentów. I jak grzyby po ulewnym deszczu wyrastają ze skalistego dawniej Manhattanu talenty aktorskie, pisarskie (O'Neill, O'Henry, Hopwood, Tarkington), filmowe, malarskie.

Chwila jeszcze — a będziemy musieli prosić zwycięską Amerykę o rewanż. Stłoczonym po miastach ponurych parjasom, wyrzuconym poza nawias kultury Europejczykom należy się rok wytchnienia, „rok amerykański“, *a tramp abroad* — w odwrotnym kierunku,.

PIETRZAK

Pan Pietrzak jest stanowczo jednym z najbardziej utalentowanych ludzi w Warszawie. W ciasnym sklepiku przy ulicy Wspólnej, który sobie jakimś swoistym systemem kotarowym podzielił, niczem Reinhardt, na sklep, kuchnię, bawialnię, sypialnię i pracownię krawiecką, roi się wiecznie od osób płci rozmaitej: żona, czworo dzieci, czeladnik, kilku szykownych panów, wyciętych z żurnalu „Latest Fashion 1912“.

Ale właściwie ani jedna z tych różnorakich twarzy nie posiada tego wyrazu twórczej inteligencji, ani jedna tego błysku w oczach, który miewa sam pan Pietrzak, kiedy ogląda, brew zmarszczywszy, spodnie do cna pocięte przez mole, albo marynarkę, zupełnie wytartą na łokciach.

Muszę to raz wreszcie wyznać publicznie: tylko genjusz tego człowieka uchronił mnie dotąd od zdżíczenia, i jedynie jego pomysłowość, tudzież inwencja twórcza sprawiły, żem za twardych lat wojny i okupacji nie stoczył się na dno, żem wytrwał przy jakim-takim „standard of life“, nie spadł pomiędzy bosiaków gorkijowskich, nie przystał do sekty adamitów.

To Pietrzak, mówiąc krótko, nicował mój żakiet na trzecią stronę. To Pietrzak przerobił mi kloszowy smoking na marynarkę dwurzędową, aby ją następnie — kiedy konieczności dziejowe zmusiły mnie do pewnego wystąpienia bardziej oficjalnego — przerobić znów na smoking kloszowy.

I to Pietrzak również w pamiętnym roku 1917—kiedym jako asystent politechniki i urzędnik państwowy (pensja miesięczna 166 marek, 66 i dwie trzecie feniga) otrzymał nareszcie długo oczekiwaną „kartę odzieżową“, a na zasadzie tej karty trzy metry kleistego, włochatego, grubego, rudego wołoku czy rogoży—stworzył z tej bawełny strzelniczej pamiętny w dziejach naszego *high-lifu* angielski garnitur marynarkowy, który też obnosiłem z dumą po wszystkich premierach i rautach (Création Pietrzak, 1918).

Polubiliśmy się z panem Pietrzakiem w okresie fatalnego głodu i wojny, krzepiliśmy się nieraz na duchu wzajemnie. Zanosilem mu co miesiąc owe 66 i dwie trzecie feniga, on zaś, gryzł gliniasty chleb kartoflany, łykał tak zwany pęczak, szyl, cerował, nicował, łątał i wytrwałą pracą nadawał mojej postaci pewne minimum dystynkcji i wygląd człowieka solidnego, niezbędnego w moich czynnościach zawodowych. Pracował przy świeczce, kiedy nie było elektryczności i usiłował wyżywić siebie, żonę, czeladnika, czworo dzieci z tych łątań, z tych dziur, które na szczęście powstają w całym.

— Musimy wytrwać, panie Pietrzak,—mówilem do niego przy każdej okazji.—Kitchener, lord angielski, tak twierdzi, ale i Foch mówi to samo i nawet Hindenburg. Wszyscy mówią to samo. Odmieni się, będzie dobrze. Trzymajmy się, panie Pietrzak, nie dajmy się.

Pod koniec roku 18-go (grzmiały już armaty pod Chateau-Thierry i brzask nowych dni, jak to powiadają, jaśniał już na niebie) pan Pietrzak ni stąd ni zowąd chwiać mi się począł — nie trzymał się dość mocno i dał się... Wyprawił poprostu którejś niedzieli całą rodzinę za miasto, przytknął szczelnie drzwi i okna, siadł

jak zwykle, na zydelku krawieckim, odkręcił kurek gazowy i czekał.

Przypadek zrządził, że z mego okna dojrzałem jeden z pierwszych, iż coś się tam niedobrego święci na vis-à-vis, u sąsiada na przeciwnym trotuarze. Pomińmy szczegóły...

Zdążyliśmy na czas, dobrzy ludzie sprowadzili Pogotowie, ocucili go, wyleczyli.

W tydzień potem mówiłem już do niego patetycznie:

— Jakto, panie Pietrzak? Teraz pan takie rzeczy robi? Kiedy właśnie rydwan historii na nowe wjeżdża tory? Kiedy świt nowej epoki, że tak powiem, kiedy przełom, że się tak wyrażę, i kiedy bujne życie—co tu gadać—tryska ze stwardniałej skorupy naszego globu? Kiedy niebo zorzą płonie i ptaszkowie śpiewają hosanna?..

Onegdaj spotkałem pana Pietrzaka na schodach jedenastego komisariatu. Rejestrowaliśmy się obaj, zgodnie z reskryptem z dnia 30. XII. i stosownie do rozporządzenia № 2340/22... Przed nami szereg obdartych obywateli, poręcz lepi się od brudu, z czarnych ścian tynk opada, ogon potępieńców wije się przez dwa piętra i kawał podwórza, ziąb dokuczliwy po kościach

łazi, zęby szczękają, jak harfa eolska, za każdym podmuchem wiatru. Na tych samych cuchnących schodach, w taki sam dzień ponury, w tym samym cyrkule, ci sami ludzie wystawali już nieraz godzinami i nieraz już dzwoniли zębami — dawniej, ongi, w czasach dalekich, przedhistorycznych.

— Jakże tam teraz, panie Pietrzak? Poprawiło się? — pytam sąsiada z ogonka, los nas bowiem rozłączył i nie widziałem go ze dwa lata.

I pan Pietrzak rozpoczyna długą, długą opowieść. Nie spieszy się, bo wie, że mamy czas. Będziemy tu stali — wedle obliczeń przybliżonych—od dziesiątej do drugiej, w zaduchu i ścisku. Mówi tedy szeroko o kaszy, o pęczaku, o drożyznie, o chlebie, o czworgu dzieciach, o gazie...

— Trudno wyżyć z tej łataniny. I materjały drogie, i roboty niema, i w mieszkaniu ciasno, i żona czegoś słaba, i z synem...

Jednem słowem—źle i nawet—zdaje mi się—ten pocziwina ma jakiś żal do nas, żeśmy go wtedy odratowali.

W jego życiu—dziwnym trafem — ani bitwa nad Marną, ani Lloyd George z Kłajpedą, ani

Poincaré z Ruhrą, ani Witos, ani Wersal, ani Spa, ani Waszyngton, ani Liga, ani Curzon, ani Paderewski, ani Askenazy, ani Harding — nic, literalnie, dosłownie nic zmienić nie zdołali. Ten sam ma sklepik na Wspólnej, tę samą nędzę w sklepiku i ten sam wycinek na ścianie „Latest Fashion 1912“.

I rzecz dziwna! Kiedy tak wzrokiem zwołna przebiegam po znękanych twarzach moich kolegów z ogonka cyrkulowego — widzę raptem jasno, że nas tu jest więcej, takich Pietrzaków! Literat zbija — jak dawniej — te same bruksy, wysiadując po tych samych kawiarniach te same stołki. I malarz marznie w tej samej pracowni, i aktor pije z rozpaczą tę samą siwuchę. I pan Kleinsinger ze Świętokrzyskiej sprzedaje, jak za moich lat szkolnych, te same cuchnące klejem książczyny, a podręczniki małym uczniakom... Jest nas dużo, panie Pietrzak, bardzo dużo...

Mężowie stanu siedzą tam sobie na konferencji przy zielonym stole, paćkają Bazewiczowi mapę atramentem bajecznie kolorowo i myślą, że dokonali rzeczy wielkich. Nasza kucharka, Michcia, rozumuje zupełnie w ten sam sposób i kiedy przeleje razem z wodą ryby, przegna-

czone na obiad postny, z balji do wanny, wpada w zachwyt nad własną genialnością.

Ale mały karasek, któremu przy tej okazji ogon nadłamano i łuskę zdarto, pływa w wannie jeszcze bardziej zafrasowany, niż w balji, i nic nikomu nie mówiąc — pocichutku zdycha.

I właśnie coś podobnego dzieje się teraz w Europie. Przelewają nas z pustego w próżne, a miasta giną, marnieją. W Warszawie domy się walą, odrapane mury o pomstę do nieba wołają — w Moskwie, Berlinie, Wiedniu życie zamiera, ludność miejska stała się jakimś zbytecznym, zwiędłym kwiatkiem przy kożuchu. Za lat pięćset albo tysiąc przyjedzie do Europy, jak dawniej do Asyrji, Egiptu, Babilonu, ekspedycja archeologów amerykańskich, pan Smith (Baltimore) wygrzebie z piasku ulicę Wspólną, Szpitalną i Koszykową, znajdzie skamieniały smoking — twoje arcydzieło, panie Pietrzak — znajdzie spleśniałą matrycę tego feljetonu, po kiwa głową, powie: nawet mieli pewien spryt — a jednak zginęli tak marnie!...

Tem się pocieszajmy, panie Pietrzak.

WIEŚ I MIASTO

Przez kilka lat z rzędu nie wolno było mówić pochlebnie o wsi, drzewach, gaju, zagonach, krowach i ugorach. Zachwycaly nas szyny i tramwaje, opale lamp łukowych i pieśni drutów telegraficznych. Byliśmy „urbanistami” i nawet nasze bajki dla dzieci zaczynały się nie od słów: „Za siódmą górę, za siódmą rzeką”, — ale od wyrazów rytmicznych: „Hen, pod rzeźnią miejską, w rurze wodociągowej“...

Byliśmy bałwochwalcami miast, — i co nas to mogło obchodzić, jak wyglądają modrzewie, okryte szronem, jak błyszczy Wenus na zimowym niebie, i jak się Orion odbija w kryształach śniegu. Można było tomy wierszy lirycznych wydać i nie wiedzieć, czym się różni sroka od wrony, jałowiec od grabu i jagnię od kozła.

Wydawało nam się, że niema na tym globie rzeczy ważniejszych od premier teatralnych, powikłań dyplomatycznych, sensacyj kawiarnianych.

Ale drzewa, zagony, zaspy śnieżne, krowy i gwiazdy uprawiają politykę angielską: mają poprostu czas. Czekają i wreszcie zwyciężają.

Wystarcza—jak się przekonałem osobiście—miesiąc dobrowolnego wygnania, żeby czad wielkomiejski osiadł w człowieku na dno. W takich lasach kaliskich, na polanie, odgródzonej od świata zwałem śniegu, w polu, które niczem się nie różni od pól nad Youkonem Jacka Londona, człowiek powoli przychodzi do zdrowia. Przekonywa się, że mały jamnik, Tumry, wcale nie jest głupszy od byłego ministra skarbu, a owce mają nawet profile zlekka semickie i wcaleby nie razily na premierze, gdyby je tak wpuścić kupą za kartkami na najnowszą sztukę Picarda. Co się zaś tyczy wyźła, Luxa, to poznałem go dobrze, szczycę się jego przyjaźnią i uważam go za jednostkę znacznie kulturalniejszą od kilkunastu warszawskich recenzentów, razem wziętych i podniesionych do kwadratu.

Podobno każdy okres jest mieszaniną różnych epok, i w każdym momencie żyją obok siebie

spokojnie troglodyci między antycznymi Grekami, małpoludy przy encyklopedystach. Ułatwialiśmy sobie dotąd zadanie i uznaliśmy za rzecz dowiedzioną, że wszyscy jaskiniowcy mieszkają za rogatkami, a prawdziwy wykwit kultury można znaleźć tylko w obrębie Wola — Mokotów — Szmulowizna — Utrata. Niemasz rzeczy we wszechświecie ważniejszej ponad to, co Mbdziumbdziński mówi o duchach, Wlazło o zde-maskowaniu Guzika, Kanariefogel o końskiej kuracji naszych finansów, co napisał Pytos o sześciu postaciach, i co sześć podejrzanych postaci napisało o mowie Mac Donalda.

Prawdziwy mieszczuch dopiero wtedy, kiedy go jakiś cud wyrwie z codziennego kierunku i jakaś niesłychana zawieja śnieżna odetnie od rodzinnych trotuarów, spostrzega, że śnieg jest biały, sosny wyglądają jak pudrowane markizy na balu kostjumowym, słońce o zachodzie zamienia każdy rowek przydrożny i każdą kałużę na konchę i perłę różową. Co rusz to Fałat, i właściwie niewiadomo, dlaczego Maciej Kielb z Czajkowa ma być mniej wykształcony estetycznie od stałego bywalca „Zachęty”. Pod każdym płotem figlarny wiaterek wiejski ustawia — jeden przy drugim — poskręcane torsy

Zamoyskiego i dziwaczne cielska rzeźbi w szlachetnym materiale.

Prawdziwy mieszczuch brnie przez zaspy śnieżne w lakierach i getrach, wzdycha i czyni rachunek sumienia. Cośmy to wyprodukowali takiego w czasach ostatnich, i czy niema wypadkiem racji ów Maciej Kielb z Czajkowa, że nas morzy głodem i nie chce nam dać funta zgniłych kartofli wzamian za nasze polemiki literackie, sztuki teatralne, szkice krytyczne, odczyty metapsychiczne, prognozy giełdowe i inne dyrdymałki, które nam życie wypełniają?

SPIS RZECZY

	str.
Tytuł	1
Uśmiech Europy	3
Abdera Północy	9
Do złotej Pragi po złote runo	16
Paralele	23
Zielony krawat.	29
Duchy w mieście	35
La donna é mobile	41
Prelekcja o tańcu	46
Ville-lumière	51
Lep na muchy	55
$2 \times 2 = 5$	61
Motywy	67
Rozmówki warszawskie	72
Dochody bohatera powieściowego	77
Formularz podatkowy	84
Rozważania zasadnicze	90
Teatr i kino	97
Yankee doodle	102
Pietrzak	107
Wieś i miasto	114



Dkc 180/53e.

I

3060